

cos. 18073/1990/1-8

RELACJE: DO WIDZENIA I DO ZOBACZENIA

● Władysław Siła-Nowicki dla „Relacji” ● Krach RSW ● Uczni koncesjonowani i gnojeni ● Przesiedlenia Ukraińców ● Kochana Telewizjo Nocą! ● Nieudane małżeństwa ● Oddajcie nam nasze ulice!

TYGODNIK
WSCHODNI

1^o L. ISSN 0600-8830

relacje

LUBLIN, 22-2802 1990 R.

NR 8(58)

CENA 800 ZŁ

WOLNOŚĆ BEZ DEMOKRACJI

Rozmowa z Władysławem Siłą-Nowickim, prezesem Tymczasowego Zarządu Głównego Chrześcijańsko-Demokratycznego Stronnictwa Pracy

— Panie mecenasie, jest pan jednym z nielicznych, żyjących w kraju, działaczy Stronnictwa Pracy, partii chrześcijańsko-demokratycznej, która — przypomnijmy — powstała w 1937 r., w latach 1939—1945 była jedną z czterech głównych — obok SN, SL i PPS — sił politycznych Polskiego Państwa Podziemnego, a po wyzwoleniu działała legalnie do lipca 1946 r., kiedy to wobec eskalacji stalinizmu własnowolnie zawiesiła swoją działalność. Aktualnie pełni pan funkcję prezesa TZG Ch-DSP oraz jednego z dziesięciu wiceprezesów Międzynarodówki Chadeckiej, której siedziba w Gwatemali. Sięgnijmy jednak do części historycznej pana biografii. Po wojnie był pan wiceprezesem wojewódzkim Stronnictwa w Lublinie. Co pana łączyło z Lubelszczyzną i jak wspomina pan tamten okres?

— Lublin znam jeszcze z okresu przedwojennego, bywałem wielokrotnie w tym mieście. Natomiast w okresie wojennym i powojennym poznałem bliżej Lubelszczyznę, z którą łączyły mnie sprawy przede wszystkim konspiracyjne, a także polityczne. Bezpośrednio po wojnie, zarówno moje liczne znajomości lubelskie, jak i to, że zamieszkiwałem przez pewien czas w Lublinie, sprawiły, że byłem obecny przy rozpoczęciu działalności po okupacyjnej przerwie tamtejszego oddziału Stronnictwa Pracy. Pełniłem wtedy, jak pan przypomniał, funkcję wiceprezesa wojewódzkiego, prezesem był prof. Henryk Dembiński. Obecność w Stronnictwie była kontynuacją mojej okupacyjnej działalności w „Unii”.

— Jak działał ośrodek lubelski Stronnictwa?

— Był to ośrodek nadzwyczaj aktywny. Mielśmy dużą liczbę członków, cieszyliśmy się dużym zainteresowaniem w terenie. Pamiętam wielkie zebrania Stronnictwa, na których wygłaszałem prelekcje, m. in. w Zamościu, w Siedlcach, które wtedy należały do województwa lubelskiego, no i w samym Lublinie.

— Za udział w konspiracji wojennej i powojennej zapłacił pan cenę niemal tragiczną — 9 lat więzienia z 4 wyrokami śmierci po drodze...

— Tak, oczywiście łączyło się to z moją działalnością konspiracyjną i polityczną, ale jeżeli chodzi o konkretne sprawy sądowe, to dotyczyły one mojej działalności w organizacji „Wolność i Niezawisłość”. Byłem inspektorem lubelskim WiN, podlegały mi oddziały partyzanckie Zapory, kontrolujące południową część Lubelszczyzny. Była to najaktywniejsza partyzantka województwa lubelskiego, wyróżniały ją wysokie walory wojskowe i moralne. W roku 1947 przeprowadziłem ujawnienie większości oddziałów i sam się ujawniłem. Zostałem aresztowany i wbrew amnestii z roku 1947, czterokrotnie skazany na karę śmierci, której uniknąłem tylko dzięki szczególnemu zbiegowi okoliczności. Otóż rodzina moja miała kontakty z rodziną Dzierżyńskich. Za wstawiennictwem

Dokończenie na str. 10—11

PANIE DOCENCIE...
TAKI NA PRZYKŁAD JULIUSZ CEZAR
— NIE BYŁ NAWET MAGISTREM!!



SADURSKI.

Rys. Szczepan Sadurski

UCZONY NA USŁUGACH LUDU I W KIEROWNICTWIE

Tomasz Stróżyński

CZY człowiekowi nauki przystoi zajmować się czynnie polityką? Nie widzę powodu, dla którego mieliśmy ludziom jakiegokolwiek profesji odmawiać prawa współdecydowania o życiu społeczeństwa i państwa, w którym żyją. Uczni zresztą wydają się jakby szczególnie skłonni do odgrywania roli politycznej, o czym świadczy mnogość przykładów z różnych krajów, systemów politycznych i okresów historycznych.

Historia naszego kraju po roku 1918 rozłamuje się na dwie, wyraźnie ze sobą kontrastujące epoki, przedzielone cezurą drugiej wojny światowej. W życiu politycznym Drugiej Rzeczypospolitej uczeni odgrywali bardzo eksponowane role: profesorowie Narutowicz i Mościcki byli prezydentami. Grabski i Bartel — premierami; profesorów, którzy byli ministrami lub czołowymi działaczami ugrupowań politycznych, trudno byłoby zliczyć.

Okres dwudziestolecia był do niedawna malowany przez oficjalną historiografię w zdecydowanie ciemnych kolorach. Nie miałem czasu sprawdzić

dokładnie, czy szczególnie złowrogą rolę przypisywano akurat politykom-profesorom; spośród czterech wspomnianych najgorzej przedstawiany był Mościcki. Narutowicz i Grabski (ten od reformy monetarnej) ukazywani byli raczej jako pozytywne wyjątki.

Rzecz paradoksalna — „lud pracujący miast i wsi”, który — mocą nieublaganych praw Historii — przejął władzę w roku 1944, też nie potrafił — jak się miało okazać — obyć się bez profesury, zarówno w budowaniu i umacnianiu nowego ładu społeczno-politycznego, jak i w jego ratowaniu przed ostateczną katastrofą (nieuchronną, acz przez klasyków nie przepowiedzianą). Im bliżej katastrofy, tym profesorów na eksponowanych stanowiskach partyjnych i państwowych więcej. W zmieniających się, w iście włoskim tempie, gabinetach rządowych lat osiemdziesiątych nie-profesorowie byli jak rdzinki w cieście.

Dokończenie na str. 12—13

1
CHCEMY pożegnać Was tak, jak witaliśmy się z Wami: zwyczajnie. To, co ważnego mieliśmy Wam do powiedzenia, starałem się zapisać w tekstach pt. „Relacje: groźba likwidacji?” (nr 4/54) i „Relacje — rachunek sumienia” (5/55). Oczywiście zostały jeszcze kwestie istotne, dokładniej oświetlające sytuację naszego tytułu, ale tymi zajmie się może kiedyś historyk prasy.

Zegnąjąc się z Czytelnikami — chciałyby przypomnieć deklarację spisana w imieniu zespołu w pierwszym numerze naszego tygodnika. Obiecywałem Wam w niej odwagę, aktualność i lokalność. W tym numerze, ostatnim przed spodziewanym wznowieniem (taką mamy nadzieję) — zamieszczamy spis publikacji, jakie udało nam się pomieścić na łamach „Relacji” dotychczas. Nie jest to oczywiście spis treści — na taki musielibyśmy przeznaczyć kilka stron — lecz rejestr tytułów tych publikacji, które, zdaniem kolegów z zespołu, określiły myślowy i warsztatowy wizerunek „Relacji”. Sami, proszę, oceńcie, czy byliśmy odważni, aktualni i lokalni.

2
 W oparciu o decyzję Zarządu Głównego RSW z 12 lutego 1990 roku, Lubelskie Wydawnictwo Prasowe zawiesiło działalność „Tygodnika Wschodniego — Relacje” z dniem 22 lutego br. Co to znaczy, że zawiesiło, a nie zlikwidowało? W obszarze faktów — to samo. Po prostu tytuł przestaje się ukazywać. Natomiast w sferze psychologii decyzja o zawieszeniu tytułu, a nie jego likwidacji, daje nadzieję. I tylko nadzieję, bo nie znamy warunków, ani terminu „odwieszenia” pisma.

Postawieni w takiej sytuacji, postanowiliśmy spotęgować działania, które pozwolą nam odzyskać prawo do obecności na rynku prasowym, a jeżeli będziecie na nas cierpliwie czekać — to i przywilej obecności w Waszych domach.

3
 Los, podobny do naszego, spotkał już dziesiątkę tytułów. Nie ma na rynku „Życia Literackiego” i „Tygodnika

Kulturalnego”. Pętla spleciona z cen papieru, kosztów druku i kosztów kolportażu grozi zdrażeniem i polskiej prasy, i polskiej książki. Wilhelmina Skulska w „Gazecie Wyborczej” z 12 lutego br. zapisała: „musi być granica dla ceny prasy, poza którą traci się rynek czytelnicy. Prasa to nie jest chleb. Można jej nie kupować [...]”. Taka jest prawda, ale prawdą jest też, że trudno sobie dzisiaj wyobrazić cywilizowany kraj bez prasy i cywilizację bez prasy.

W 1981 roku, kiedy pracowałem nad „Raportem o stanie komunikacji społecznej w Polsce” i musiałem „przerobić” ogromną literaturę poświęconą i teorii, i praktyce komunikowania spo-

łecznego na Wschodzie i Zachodzie, a przede wszystkim w Polsce — „wyszli” mi i taki wniosek:

„Nie ulega wątpliwości, że z próżnią informacyjną ściśle koreluje dezintegracja społeczna, z dezintegracją — kryzys norm i wartości utrzymujących spójność kulturową, z kryzysem norm i wartości — patologię w życiu społecznym i politycznym, a w konsekwencji — gospodarczym”. Wówczas pojęcie „próżni informacyjnej” odnosiłem do sytuacji, jaką wytwarzają „niewiarygodne, kłamliwe, intencjonalnie wybiórcze i zniechęcające środki masowego przekazu”. Dzisiaj dałoby się też powiedzieć wiele o wybiórczości w polskich środkach komunikowania społecznego, ale najwięcej należałoby mówić o groźbie próżni informacyjnej wywołanej ich brakiem i katastrofalnym spadkiem ich społecznego zasięgu. Bo z faktu, że jest jeszcze prasa w kioskach nie wynika przecież, że treści przez nią przekazywane są w głowach tych wszystkich, którym to się należy.

Jak to zapisała W. Skulska? „Prasa to nie jest chleb. Można jej nie kupować [...]”.

Wieje grozą.

4
 W ubiegły piątek spotkaliśmy się w redakcji, aby dowiedzieć się, że „dostaliśmy w zawieszaniu” i aby zastanowić się, „co dalej?”.

Było smutno i przez chwilę rozruchunkowo. Jeden z kolegów stwierdził, że gdybyśmy byli bardziej radykalni, to pewnie nasza sytuacja byłaby korzystniejsza.

Jacy byliśmy — niech mówią zawartość 58 numerów, jakie przekazaliśmy pod osąd Czytelników. Zbiorem sygnałów w tej sprawie jest towarzyszący

lubież. Skutków jego — tym bardziej i za Ortegą y Gassetem uważam, przekształcając nieznacznie jego przesłanie (wbrew wielu „polskim europejczykom”), że polskość jest obowiązkiem, europejskość dążeniem. Nie w słowach i frazesach, lecz w postawach i działaniach.

5
 Od dzisiaj porządkujemy redakcyjne archiwa. Jest w nich dużo bardzo ważnych, ciekawych listów, jakich nie zdążyliśmy opublikować. Są w redakcyjnych teczkach teksty od naszych korespondentów i naszych współpracowników; teksty, którym decyzja o zawieszeniu tytułu odebrała światło druku.

„RELACJE”: DO WIDZENIA — DO ZOBACZENIA?

temu tekstowi wykaz publikacji. Łatwo mógłbym pewnie dowiedzieć, że — biorąc za kryterium ilość ingerencji cenzorskich bądź porównanie z innymi tytułami prasowymi — byliśmy radykalni, ale wtedy kłamałbym samemu sobie.

Obiecaliśmy sobie prawdę — nie radykalizm. Obiecaliśmy sobie słowami Norwida, że nam, Polakom, trzeba się różnić mocno a pięknie, a nie pielęgnować bezkrytyczną miłość bądź równie bezkrytyczną nienawiść. W imię prawdy więc staraliśmy się pisać i dopuszczać teksty na łamy, a nie w imię z góry upatrzonych, instrumentalnych założeń.

Jeżeli jednak brak radykalizmu miał nam zaszkodzić, to winę biorę na siebie i przyznaję szczerze, że najbliższe są mi te myśli Michaiła Bachtina, Karola Wojtyły i Jose Ortegi y Gasset, z których można wyczytać, że każdy sens będzie miał swoje święto odrodzenia, że tym więcej człowieka w człowieku, im więcej widzi się człowieczeństwa w innych. Robespierzymu nie

Niezależnie od tego, czy były to teksty zamówione, czy nie zamówione, dołożymy starań, aby je zwrócić nadawcom. Prosimy o telefony bądź listy w tej sprawie, bo jeżeli okaże się, że perspektywa wznowienia tytułu jest realna, zechcemy z wielu listów i artykułów skorzystać po wznowieniu.

6
 Do widzenia tym domom, w których przyjmowano nas życzliwie przez rok i jeden miesiąc. Dziękujemy Czytelnikom, Drukarzom i Kolporterom; dziękujemy tym, którzy w 1988 roku zgodzili się zgromadzić w redakcji tygodnika „Relacje” zespół ludzi reprezentujących postawy i poglądy tak różne, ale sądzę, że zasługujące na uznanie i zainteresowanie. Dziękuję więc zespołowi i tym wszystkim, którzy współpracowali z nami piórem, myślą i cenną radą.

Franciszek Piątkowski

PS. Przedpłaty wniesione przez prenumeratorów na okres I kwartału zostaną zwrócone przez odpowiednie Oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa-Książka-Ruch”.

relacje

ZE ŚWIATA

● Na spotkaniu ministrów spraw zagranicznych państw NATO i Układu Warszawskiego w Ottawie przedstawiono projekt zwołania konferencji w sprawie zjednoczenia Niemiec. Miałyby w niej uczestniczyć NRD, RFN oraz USA, ZSRR, Francja i Wielka Brytania. W konferencji tej nie jest przewidywany udział Polski, o co zabiega nasza dyplomacja, a czemu sprzeciwia się stanowczo strona zachodnoniemiecka. Minister spraw zagranicznych ZSRR, Eduard Szewardnadze stwierdził, że w rokowaniach czterech mocarstw z państwami niemieckimi zostaną również w pełni uwzględnione interesy Polski. W tej sytuacji, zdaniem Szewardnadze, nasz udział w tych negocjacjach jest zbędny.

● Przemawiając w Bundestagu, kanclerz Kohl stwierdził, że przyszłe Niemcy powinny stać się członkiem NATO, przy czym wojska paktu północnoatlantyckiego nie powinny przekroczyć Łaby. „Myśleniem starego typu” nazwał kanclerz propozycję demilitaryzacji lub neutralizacji Niemiec.

● Po Azerbejdżanie konflikty etniczno-religijne przeniosły się do innych azjatyckich republik ZSRR. W stolicy Tadżykistanu — Duszanbe doszło do pogromów przesiedlonej tam ludności ormiańskiej. Interweniowało wojsko, zginęło kilkadziesiąt osób. Napięta sytuacja utrzymywała się również w Kirgizji i Uzbekistanie. Domagano się m.in. wysiedlenia z tych republik ludności rosyjskiej. Straty materialne na skutek zajęć w Duszanbe oceniane są przez TASS na pół miliona rubli, przez Reutersa — na 30 mln dolarów.

● W Moskwie odbył się wiec Patriotycznego Związku „Rossija”. Nacjonaliści rosyjscy twierdzą, że Rosja utrzymuje ze swych bogactw cały Związek Radziecki.

● Za kilka dni wojska radzieckie rozpoczną ewakuację z Czechosłowacji. Tylko jeden procent ankietowanych Czechów i Słowaków uważa, że Armia

Radziecka powinna zostać w CSRS na stałe.

● W Pradze powstała Konfederacja Byłych Więźniów Politycznych.

● Z oficjalną wizytą przebywał w USA i Kanadzie prezydent Czechosłowacji Vaclav Havel. Wygłosił m.in. przemówienie przed połączonymi izbami Kongresu USA.

● Parlament szwedzki wyraził wotum nieufności wobec premiera Ingvara Carlssona, odrzucając jego program gospodarczy.

● W Nikaragui odbędą się pierwsze, od czasu objęcia panowania przez Ortega, wolne wybory prezydenckie.

● Węgry postanowiły wystąpić ze Światowej Rady Pokoju. Przewodniczącym tej organizacji jest Węgier, Romes Csandra.

● Na nadzwyczajnym posiedzeniu zebrał się Komitet Centralny Komunistycznej Partii Kuby. Zapowiedziano reformy wewnętrzne, lecz wykluczono możliwość wprowadzenia systemu wielopartyjnego. Plenum zadeklarowało uznanie dla „tytanicznych wysiłków, dojrzałości i mistrzostwa Fidela Castro”.

● Pod naciskiem opinii publicznej i młodszych oficerów ustąpił rumuński minister obrony narodowej, Nicolae Militaru. W Rumunii trwają demonstracje przeciwko obecności w wojsku i rządzie skompromitowanych członków ekipy Ceausescu.

● Spłonął częściowo budynek redakcji „Moskowskich Nowosti”. Redaktor naczelny pisma, Jegor Jakowlew, nie wykluczył umyślnego podpalenia.

● W Budapeszcie przestała istnieć Wyższa Akademia Polityczna.

● Sześciu Polaków z załogi duńskiego frachtowca podzieliło na Morzu Czerwonym losy załogi ms. „Bolesław Krzywousty”. Prawdopodobnie są przetrzymywani przez partyzantów Ludowego Frontu Wyzwolenia Erytrei.

● Karoly Grosz, były premier i szef komunistów węgierskich, musiał salwować się ucieczką przed demonstracjami z Forum Demokratycznego w mieście Leninvaros, gdzie miał wystąpić przed kamerami lokalnej telewizji.

● W Watykanie zapowiedziano kolejną wizytę papieża w Polsce. Prawdopodobnie dojdzie do niej w czerwcu przyszłego roku.

relacje

Z KRAJU

● Z wizytą w Warszawie przebywał premier NRD, Hans Modrow. Zadeklarował w rozmowach z premierem i prezydentem Rzeczypospolitej uznanie nienaruszalności polskiej granicy zachodniej. W obliczu zjednoczenia Niemiec i zbliżających się wolnych wyborów w NRD, deklaracja Modrowa ma jednak kurtoazyjne znaczenie.

● O średnio 200 procent podrożały leki produkcji krajowej. Zwykła polopiryna, kosztująca dotąd 200 złotych, zdrożała do tysiąca.

● W Polsce przebywał prezes Banku Światowego, który zapowiedział przyznanie nam pożyczki w wysokości 2,5 mld dolarów, rozłożonej na trzy lata.

● W województwie opolskim odbyła się druga tura uzupełniających wyborów do Senatu. Poprzedzająca je kampania wyborcza miała ostry przebieg z racji tego, że kontrkandydatem prof. Doroty Simonides, wysuniętej przez Komitet Obywatelski, był Henryk Król — reprezentant mniejszości niemieckiej.

W drugiej turze wyborów głosowało 54,8 proc. uprawnionych do głosowania.

Zwycięstwo odniosła prof. Dorota Simonides uzyskując 253 138 ważnych głosów (67,07 proc.); Henryk Król — 124 493 (32,35 proc.).

● W pierwszym miesiącu wprowadzania planu Balcerowicza produkcja sprzedana w przemyśle społecznym spadła o ponad 20 proc. Placa nominalna zwiększyła się o 1,3 proc., zaś realna zmniejszyła się o 40 proc. Eksport, w porównaniu do stycznia ubiegłego roku, spadł o 16 proc., a import o 12 proc.

● Z gmachu byłego KC PZPR zaginął pod koniec stycznia br. obraz Tadeusza Makowskiego „Martwa natura”, wartości 30 tys. dolarów. Prokuratura warszawska prowadzi śledztwo w sprawie „zaginięć” depozytów przekazanych z Muzeum Narodowego do KC.

● We Wrocławiu uruchomiono pierwszą w Polsce prywatną stację telewizyjną — „Echo”. Nadaje ona na

razie 4,5 godziny programu dziennie a możliwością przedłużenia czasu emisji do 24 godzin.

● „Nie przesadzajmy z zawodowstwem w dziennikarstwie. Każdego średnio inteligentnego szympansa można w trzy miesiące przyczyć do tego zawodu” — powiedział Jerzy Urban w radiowej dyskusji na temat podziałów w środowisku dziennikarzy i ich roli w nowej sytuacji politycznej i gospodarczej.

● Prezydent Wojciech Jaruzelski, a następnie premier Tadeusz Mazowiecki przyjęli ambasadora ZSRR w Warszawie, Władimira Browikowa. Omawiano sprawę zjednoczenia Niemiec w kontekście bezpieczeństwa zachodniej granicy Polski. Zarówno prezydent, jak i premier uznali za konieczny udział Polski w rokowaniach zjednoczeniowych.

● Premier Tadeusz Mazowiecki przeprowadził telefoniczną rozmowę z Michaiłem Gorbaczowem.

● W kraju obchodzono 48. rocznicę powstania Armii Krajowej.

● Doroczną nagrodę tygodnika „Ekran” — „Złotą kaczkę” otrzymali Krystyna Janda i Janusz Gajos za rolę w filmie Ryszarda Bugajskiego „Prześluchanie”.

● Wspólnota Polska zastąpi Towarzystwo „Polonia”. Przewiduje się w przyszłości utworzenie światowej organizacji polonijnej na wzór przedwojennego „Światopolu”.

● „SB spełniała inne funkcje i naszym zdaniem jej przydatność do pracy kryminalnej jest minimalna, bądź wręcz żadna. Paradoks polega na tym, że oficer SB z dnia na dzień zostaje milicjantem i musi się uczyć od sierżanta, który w dodatku mniej od niego zarabia. To, co się obecnie dzieje w milicji, jest odgórnie dokonywaną fuzją milicji i służby bezpieczeństwa. My się na taką koncepcję reformy nie możemy zgodzić. Również ze względów społecznych” (Z rozmowy z por. Lechem Kacprzyckim z NSZZ Funkcjonariuszy MO woj. piotrkowskiego — „Tygodnik Solidarność” 7/90).

● W związku z zawieszeniem naszego pisma autorzy rubryki dziękują wszystkim czytelnikom za krytyczne uwagi na temat jej redagowania.

Zbigniew Dzieciołek
 Leszek Wiśniewski

Byłam mile zaskoczona. Podekscytowana... i oświadczyłam, że przyjął. Wyglądał tak czarująco. Był rozmowny, kulturalny. Stwierdził, że ślub musi odbyć się natychmiast. Pojechał do domu po dokumenty. Wrócił z futerkiem, które kupił mi zamiast pierścienia zaręczynowego. Obsypywał mnie kwiatami. Kiedy szłam z nim ulicą, znajomi oglądali się za mną, bo oto nagle nie szłam sama, tylko miałam wreszcie kogoś, kogo mogłam wziąć pod rękę.

Czy to było szczęście? Tak. Byłam szczęśliwa. Znajomi, których razem odwiedzaliśmy, byli nim zachwyceni.

10 września wzięliśmy ślub. Miałam na sobie różową sukienkę i na różowo widziałam swoje przyszłe życie. Małżonek prezentował się wspaniale. Był jak marzenie. Przyjęcie weselne odbyło się w całej sali restauracji „Kosmos”. Na ślub przyjechał tylko jego ojciec. Matka została w Nowej Soli.

Pierwszy „zgrzyt” nastąpił już na przyjęciu weselnym. Alkohol zamówiony był jedynie symbolicznie, więc się mocno zdziwiłam, że po dwóch kieliszkach

TO BYŁO?

alkoholu mąż zaczął się dziwnie zachowywać. Zauważyłam też, że wziął jakieś proszki.

Potem pojechaliśmy w odwiedziny do jego rodziny. Poznałam matkę, która z miejsca mi powiedziała, abym nie spuszczała go z oka, dobrze pilnowała i nigdzie samego nie wypuszczała. Byłam zdumiona. Pilnować dorosłego mężczyznę? Jeszcze tego samego popołudnia mąż wyszedł z domu. Wrócił o 4 rano, pijanutki, zarzygany, zasikany. Zaczął się awanturować, wykrzykiwać, że zabrałam mu wolność i on nigdzie stąd się nie ruszy, bo tu ma kolegów. To był dla mnie wstrząs.

Dlaczego ja go wtedy tam nie zostawiłam? Czego jeszcze mogłam się spodziewać?

Wróciliśmy do Swidnika. Przez trzy miesiące mąż nie pracował. 300 tysięcy, które miał na książeczce, rozeszły się bardzo szybko. Wreszcie zatrudnił się w MPGK. Miał taką pracę, że mógł wychodzić o każdej porze. Więc wychodził i szedł z kolegami napić się wódki. Przychodził do domu sprawdzać, czy go nie zdradzam. Wreszcie zwolnili go z pracy. Wtedy zaczął zabierać mi rentę. Trzymałam ją u sąsiadki. Znalazł następną pracę. Pił coraz więcej.

Codziennie urządzał awantury. Bił mnie, szarpał za włosy, a kiedy stawiałam opór, groził, że mnie zabije i na kłęczkach każe mi błagać go o przebaczenie. Wyrzucał mnie z łóżka. Spałam na podłodze lub uciekałam przed nim do znajomych.

W alkoholowym szale zmuszał mnie, abym piła razem z nim. Z wściekłości gryzł szklanki, krwawił sobie usta. Wyglądał jak prawdziwy diabeł. Balam się go. Na jego widok zaczynałam się trząść. Serce podchodziło mi do gardła. Myślałam, że zawału dostanę. Kiedyś z siniakami chodziłam przez sześć tygodni. Na wykonywanie obdukcji w Zakładzie Medycyny Sądowej pewnie zabrakłoby mi renty.

Twierdził, że mnie wykończy tak samo, jak wykończył cztery baby w Nowej Soli, że zajmie moje mieszkanie i wreszcie będzie mógł żyć, jak będzie chciał. Byliśmy już małżeństwem, kiedy na mój adres przychodziły do niego jeszcze jakieś oferty matrymonialne od kobiet.

I tak na stare lata poznałam MO, prokuraturę i sąd. Milicja interweniowała wiele razy, ale wiadomo, w małżeńskie sprawy nikt nie chce się mieszać. Podobne stanowisko zajmowali też sąsiedzi.

Śpiewają pod katedrą Rotę i robią na miejscowej ludności wrażenie, że już pojutrze przyjadą na białych koniach albo tankach. [...] Turysci przyjadą, pośpią, pogadają, a potem wrócą do domu po przyjemnej podniecającej rozrywce. A my tu zostajemy. Myśmy dążyli w ciągu tych 40 lat wspólnej niedoli do porozumienia z miejscową ludnością, pobraliśmy się, wzajemnie pomagaliśmy sobie i dalej pomagamy. My razem modliliśmy się w ciągu tych lat. [...] A teraz przeżywamy najazd hurra patriotów, którzy zachowują się tak, jakby chcieli powrotu dawnych śledów, dawnych grzechów i dawnych zbrodni. [...] Niechże już lepiej w domu siedzą albo niech jada wyładowywać swoje patriotyczne ciągoty na przykład w Australii!

Jeśli więc chodzi o traktowanie Polaków we współczesnym Lwowie, to sprawa nie jest taka prosta.

Sprawa obecności herbów Przemysła i Chelma na zjeździe założycielskim Narodowego Ruchu Ukrainy została dostatecznie wyświetlona w programie „Otwarte Studio”. Przypomnę więc tylko, że umieszczono je wyłącznie ze względów historycznych. Nie zapominajmy, że tereny te należały

Nie mogłam już dłużej wytrzymać. Dostałam rentę i pierwszym autobusem pojechałam do Lublina do zespołu adwokackiego. Tego samego dnia wniosłam do sądu sprawę o rozwód.

Na rozprawach przed sądem przysięgał, że mnie kocha, że nie wyobraża sobie życia beze mnie, a wszystko, co mówię, jest po prostu kłamstwem. Na szczęście sąd mu nie uwierzył, tym bardziej, że jednocześnie toczyła się przeciwko niemu sprawa karna o pobicie mnie.

8 sierpnia 1989 roku otrzymałam rozwód i eksmisję męża z mojego mieszkania. I co z tego? Jak mogłam się go pozbyć? Zmieniłam zamki, to wyważył drzwi razem z futryną. Zamieszkał w naszej piwnicy i oskarżał mnie do milicji, że nie wpuszczam go do mieszkania. gdzie jest zameldowany.

Balam się wychodzić z mieszkania, bo czatował na mnie na schodach. Przyjechał syn i trochę go przestraszył, ale nie na długo. Syn pojechał, a ja znowu zostałam sama.

Gehenna trwała.

Na stole leżą różne narzędzia: młotek, śrubokręty, gwoździe, klamki, rozpolowane części zasuw. Pani Bogusława zgarnia je ręką w róg i robi miejsce na szklanki z kawą.

— Właśnie wymieniłam u drzwi wszystkie zamki. Jeszcze tylko futrynę trzeba będzie zacementować i będę mogła spokojnie pojechać do sanatorium. Wyjeżdżam za kilka dni do Międzyzdrojów. Jestem po prostu wykończona.

Od trzech tygodni mam wreszcie spćtój. Dowiedziałam się, że zakład zwolnił go z pracy, bo ciągle pił. Chyba wyjechał ze Swidnika, bo przestał się dobijać do mojego mieszkania. Nikt też ze znajomych ostatnio go nie widział. Pewnie uwodzi następną ofiarę z ogłoszenia matrymonialnego i szykuje sobie kolejną przystań życiową. Boże! I po co mi to było? Tak zgłupieć na stare lata! Pani sobie nawet nie wyobraża, jak się cieszę, że wreszcie jestem sama. Ze mogę w ciszy siedzieć w mieszkaniu, patrzeć w telewizor i robić na drutach. Tem spokój i samotność są po prostu cudowne.

Kiedy siedziałam zamknięta we własnym mieszkaniu to karty stawiałam, czy były mąż jest gdzieś w pobliżu i może mnie napaść i pobić, czy też mogę wyjść z mieszkania.

— No i co pani wychodziło? — pytam.

— Gdy mi w kartach wychodziło, że jest daleko, szybko wychodziłam do miasta robić zakupy. I nigdy się karty nie pomyliły. Chce pani wiedzieć, co panią czeka?

— Kto by nie chciał — żartuję.

— O, dobrą ma pani kartę — kiwa głową. — Kłopot są, ale góruje pani nad nimi. Zie jest pani ustosunkowana do ciemnych mężczyzn. Mimo to jeden ciemny mężczyzna bardzo myśli o pani. No, proszę, jest karta ślubna. On pani zaproponuje małżeństwo. Ale jest i ciemny blondyn. Też myśli o ślubie z panią i niedługo oświadczy się. W związku z tym będzie pani miała problem.

— Ja już nawet wiem, jaką na te propozycje dam odpowiedź — żartuję.

Smiejemy się obydwie.

do Księstwa Halicko-Wołyńskiego aż do połowy XIV wieku. Zresztą i po dokonanej przez Kazimierza Wielkiego aneksji ziem ruskich, król ten „nie ukrywał ani narodowego charakteru, ani nazwy zajętego kraju” (P. Jasienica, „Polska Piastów”). Ramiętajmy również i o tym, że sztuczny i obraźliwy dla Ukraińców galicyjskich termin „Małopolska Wschodnia” (obraźliwy, bo czynił ich przybłędami na własnej ziemi) został ukuty dopiero w II Rzeczypospolitej.

Bynajmniej nie twierdzą, że wiece na Ukrainie nie odbywają się w cieniu błękitno-żółtych flag i tryzuba. Wiem o tym doskonale i to zjawisko popieram, przecież to jest po prostu narodowa symbolika Ukrainy. Nie podobało mi się sformułowanie: „chcą tryzuba i Przemysła”, bo [westię b. ważną (odzyskania symboliki narodowej) zestawil red. Wiśniewski z kwestią rzeźbionych rozcięć terytorialnych (która to kwestia najbardziej jest nagłażniana przez ekstremy obu narodów i sowiecki „beton”).

Piotr Siwicki
Lublin

PRZESIEDLENIA UKRAIŃCÓW

Ciąg dalszy ze str. 4

niała pomiędzy Polakami a Ukraińcami w czasie okupacji niemieckiej, trwa nadal. Ludność polska, która swego czasu uciekła przed rezunami banderowskimi ze wschodnich terenów tutejszego powiatu, tj. z gmin: Poturzyn, Telatyn, Łaszczów, Farnoszyn, Unów, Lubicza Królewska — jeszcze nie może powrócić do swoich domów, gdyż w wielu wypadkach Ukraińcy na powracających Polakach dokonywali mordów i grabieży. [...] Ludność ukraińska w wym. gminach jest pod zdecydowanym wpływem organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. [...] ostatnio Ukraińcy w w/w gminach, zgodnie z nakazami OUN, zgłosili się w znikomej liczbie do przesiedlenia za Bug. OUN wydało nawet polecenie uciekania się do zmiany wyznania, a tym samym pozornie i nacji!

Akcja przesiedleńcza pociągnęła za sobą również określone straty gospodarcze, co wynikało z faktu, że znaczna część ziemi pozostawała niezagospodarowana. Zwracał na to uwagę starosta tomaszowski, stwierdzając, że „najżyźniejsze gleby, spichrz powiatu tomaszowskiego [...], leżą odłogiem na skutek zagrożenia przez bandy bulbowców i nie rozwiązanej dotychczas sprawy przesiedlenia ludności ukraińskiej”.

Na nieprzejednanie wrogi stosunek ludności ukraińskiej wobec akcji przesiedleńczej zwracał również uwagę wojewoda lubelski, który w sprawozdaniu z czerwca 1945 r. pisał: „natomiast ludność ukraińska powiatu hrubieszowskiego zajmuje od początku i do obecnej chwili stanowisko nieprzejednanie wrogie. Na wyjazd do USRR nie tylko, że nie zadeklarowała się, lecz przeciwnie, pod hasłem „Hrubieszowszczyzna winna być włączona do Ukrainy” zorganizowała się w nacjonalistyczno-terrorystyczne bandy bulbowców i banderowców, które to bandy, liczebnie duże i wyposażone w nowoczesną broń — dokonują aktów terroru na okolicznej ludności polskiej w postaci bestialskich mordów i podpaleń niekiedy całych osiedli. Stwierdzić należy, że bez radykalnych posunięć rządu zaistniałej w Hrubieszowszczyźnie sytuacji nie da się opanować lokalnymi środkami”.

W początkowym okresie pierwszego etapu przesiedleń — w porównaniu do ogólnej liczby Ukraińców zamieszkałych w powiecie — stosunkowo najliczniej wyjeżdżała do USRR ludność ukraińska z powiatów: zamojskiego i biłgorajskiego. Już w sprawozdaniu za październik 1944 r. starosta zamojski informował, że na wyjazd do USRR zarejestrowało się 1367 rodzin, podczas gdy w całym powiecie zamieszkiwało 1648 rodzin ukraińskich. Natomiast starosta biłgorajski informował, że „na terenie powiatu biłgorajskiego znajduje się kilka gmin, których miejscowa ludność jest narodowości ukraińskiej. Mieszkańcy tych gmin zgłaszają się do Komisji Przesiedleńczej i podpisują deklaracje na wyjazd. Spośród w/w ludności jest pewna ilość właścicieli gospodarstw rolnych, którzy zalegają z podatkami. Platnicy ci oświadczają, że według informacji Komisji Przesiedleńczej z chwilą podpisania deklaracji są wolni od płacenia podatków”.

Zgodnie z treścią układu zawartego we wrześniu 1944 r. pomiędzy PKWN a USRR, całość prac przesiedleńczych zamierzano przeprowadzić w okresie od 15 października 1944 r. do 1 lutego 1945 r. Ze względu na niezadowolające wyniki, od lipca 1945 r. zaczęto stosować administracyjne metody przesiedlania ludności ukraińskiej, które w praktyce oznaczały przymusowe wysiedlenie. Potęgowało to niezadowolenie ludności ukraińskiej i powodowało, że coraz częściej udzielała ona wsparcia oddziałom UPA i OUN.

Wraz z nasileniem się od lipca 1945 r. akcji wysiedleńczej, w sposób bardziej zdecydowany zaczęły przeciwdziałać jej oddziały podziemia ukraińskiego. Potwierdza to sprawozdanie Komitetu Wojewódzkiego PPR w Lublinie, w którym m.in. stwierdzono: „ludność ukraińska zamieszkała w powiecie Hrubieszów i Tomaszów nie chce wyjeżdżać na wschód. Organizują się tam duże bandy ok. 2000 osób, które nie pozwalają wyjeżdżać chętnym Ukraińcom. Palą mosty na drogach, kolejach, niszczą tabor kolejowy, palą opuszczone wsie przez Ukraińców oraz stawiają zażarty opór Wojsku Polskiemu, które jest w bardzo małej ilości i nie może się przeciwstawiać. Do tej akcji wysiedleńczej należy dać większe jednostki wojska, które zdławią wszystkie bandy ukraińskie i przejmą opór Ukraińców”.

Akcja przesiedleńcza pociągnęła za sobą nie tylko uaktywnienie się ruchu nacjonalistycznego, ale także wyloniła problem wysiedlenia Ukraińców będących członkami PPR. Zwracał na ten stan uwagę sekretarz KW PPR w Lublinie, który w jednym ze sprawozdań stwierdził: „Ukraińcy z powiatów Hrubieszów i Tomaszów z tych terenów, gdzie jest największy nacjonalizm ukraiński, nie chcą wyjeżdżać na Wschód, lecz zbrojnie stawiają opór wojsku. [...] wśród Ukraińców mamy w tych powiatach około 1500 członków [PPR — dop. K.P.]. Wśród nich dużo aktywistów, którzy są na czołowych stanowiskach w naszej partii. Wydaliśmy zarządzenie, aby wszyscy aktywiści i członkowie aktywni naszej partii nie wyjeżdżali za granicę, tylko żeby się przemieścili na inne tereny”.

Na problem ten zwracał także uwagę instruktor KC PPR, Stanisław Krupa, który w sprawozdaniu z pobytu na Lubelszczyźnie pisał: „KW [PPR w Lublinie — dop. K.P.] wystosował specjalny okólnik do

Ciąg dalszy na str. 6

PRZESIEDLENIA UKRAIŃCÓW

Ciąg dalszy ze str. 5

Komitetów Powiatowych Partii, ażeby Ukraińców — członków naszej partii, aktyw kierować na Zachód. Należy zaznaczyć, że Ukraińcy — członkowie partii wyrażają większą chęć wyjazdu do Związku Radzieckiego. Są wsielone, w których Ukraińcy niszczą wszystko. Wylania się sprawa zabezpieczenia opuszczonych gospodarstw”.

Natomiast wojewoda lubelski pisał: „Ukraińcy pozostają pod wrażeniem bezapelacyjnego wyjazdu na Wschód. Ponieważ akcja przesiedleńcza nie jest wśród nich popularna, wyczuwa się wielkie niezadowolenie z istniejącego stanu rzeczy, co w dalszej konsekwencji powoduje odpływ szowinistycznych elementów ukraińskich do UPA”.

Przypadki przymusowego przesiedlenia zdarzały się coraz częściej, a wiosną 1946 r. przybrały charakter masowy. Wywoływało to zrozumiały sprzeciw ze strony ludności ukraińskiej mieszkającej w powiatach: hrubieszowskim i tomaszowskim, a jednocześnie stwarzało podatny grunt dla działalności nacjonalistów ukraińskich.

Wobec perspektywy przymusowego przesiedlenia, a także w wyniku akcji propagandowej prowadzonej przez nacjonalistów, Ukraińcy zaprzestali dobrowolnie zgłaszać się na wyjazd do USRR. Potwierdza ten stan sprawozdanie WRN w Lublinie, w którym podkreślono, że „ludność ukraińska zajmuje nadal nieprzejednane stanowisko wobec akcji przesiedleńczej do ZSRR. Dobrowolnych zgłoszeń na wyjazd nie notowano. Sytuacja, jaka się wytworzyła w związku z uprzednią zapowiedzią przymusowego przesiedlenia za Bug, sprzyja działalności nacjonalistycznych band ukraińskich, które wykazują coraz większą aktywność”.

Na pogarszający się stan bezpieczeństwa, powodowany bezpośrednio akcją przesiedleńczą, zwracał także uwagę sekretarz KW PPR w Lublinie, który w jednym ze sprawozdań stwierdzał, że „w powiecie hrubieszowskim i tomaszowskim ludność ukraińska w ogóle nie chce wyjeżdżać do ZSRR, ale przeciwnie, nawet przyjeżdża stamtąd do Polski. Panuje tam całkowity bezład, w tym terenie bandy bulbowskie w dalszym ciągu działają i aktywność ich wzrasta się, współpracują nawet z bandami polskimi”. W dalszym ciągu sprawozdania podkreślał, że „należy przystąpić szybko i energiczniej do wysiedlenia Ukraińców. Wojska, które stacjonują w tych powiatach, dwa pułki, nie są w stanie sami tej akcji przeprowadzić z powodu słabych sił, gdyż pułki te nie mają nawet pełnych etatów. Aby tę akcję przeprowadzić, należy przysłać [...] jeszcze jedną dywizję”.

Podstawowym zadaniem walki zbrojnej prowadzonej przez OUN i UPA na terenach powiatów hrubieszowskiego i tomaszowskiego, a także częściowo bilgorajskiego, była obrona tych obszarów, uważanych przez nacjonalistów za ukraińskie, oraz przeciwdziałanie akcji przesiedlenia Ukraińców. W ramach tej walki pierwszoplanowe miejsce na przestrzeni lat 1944—1947 zajmowały poczynania mające na celu przeciwdziałanie akcji przesiedleńczej, a następnie zwalczanie polskiej administracji, organów bezpieczeństwa i porządku publicznego, oddziałów WP i NKWD.

Propaganda OUN i UPA

STOSUNEK OUN i UPA do akcji przesiedleńczej miał także swoje odbicie w wydawanych instrukcjach i ulotkach. Np. w tajnej tymczasowej instrukcji, wydanej w lipcu 1945 r. dla oddziałów UPA działających na terenie odcinka taktycznego „Danców”, w punkcie 2 stwierdzono, że „akcja wysiedleńcza jest przedsięwzięciem w kierunku niszczenia społeczności ukraińskiej”. W związku z powyższym zalecono „oró i aktywna obronę”. Natomiast w punkcie 4 instrukcji m.in. stwierdzano: „jak tylko przeminie wysiedleńcza akcja, trzeba liczyć się z tym, że okupacyjna polsko-bolszewicka władza będzie dążyła do rozszerzenia na całe ukraińskie tereny swoją administrację, wojsko, milicję, kontyngenty itp. Nasze stanowisko takie: gospodarzem na ukraińskiej ziemi ma być ukraiński naród razem z mniejszościami, tam gdzie one z Ukraińcami mieszkają [...], nasza taktyka w odniesieniu do tego musi być taka, żeby objąć w jak największych i jak najszerszych rozmiarach naszą władzę i wpływami wszystkich mieszkańców ukraińskiej ziemi, a z drugiej strony nasza taktyka musi być taka, aby nie powodować dużych represji w postaci wysiedleń. Niebezpiecznym problemem jest przymusowe wysiedlenie, musimy mieć na uwadze dobór odpowiedniej taktyki postępowania, co i jak w danym momencie mamy uczynić”.

Z kolei w wydanej w sierpniu 1945 r. odezwie, zatytułowanej „Do Ukraińców poza linią Curzona w sprawie przesiedlenia”, podkreślono, m.in., że „w połowie sierpnia tego roku podpisano w Moskwie polsko-sowiecką umowę o wschodnich granicach państwa polskiego. Na podstawie tej umowy ponad milion

Ciąg dalszy na str. 7

Kochana Telewizjo Nocą...

„**W** KROTCE skończę 19 lat. Mimo tego piękno, młodego wieku, jestem spragniona śmierci i nie chcę żyć ani chwili dłużej! Ludzie, za bierzcie mnie stąd! Mam dość swego życia. Za rok, może dwa stracę wzrok. Już dziś widzę bardzo słabo i z każdym dniem gorzej. Często postępuję się dotykaniem i wycuciem. Wiele razy już słyszałam, że mam ładne oczy, ale nikt nie zliczy łez, które z nich wypłynęły w ciągu tych na stu lat”.

Otwiera mi ładna, smukła dziewczyna. Pytam o autorkę listu. To ona. Kiedy krząta się energicznie po kuchni, myślę: nie tak ją sobie wyobrażałam... Siedziałam przy herbacie.

— Przeczytałam twój list. Jest dramatyczny — zaczynam rozmowę. — Nie wyglądasz na osobę, która ma stracić wzrok...

— Nie wyglądam? — rozjaśnia się, ale zaraz poważnieje. — Mogę zapalić? Zaciąga się nerwowo.

— Mam krótkowzroczność dużego stopnia. Minus siem i minus dziewięć. Leczę się od drugiej klasy szkoły podstawowej. Co jakiś czas się pogarsza. Leżałam na Chmielnej, ale niewiele mi pomogło. Ciągłe leczenie w dół. Ostatnio — to dość dziwne — stoi w miejscu. Byłam prywatnie u profesora Gierkowicza. Powiedział, że wada trwała, nie rokuje nadziei...

Mówi powoli, zatrzymuje się, czując, że wolałaby nie mówić nic.

— „Nie mam sił żyć tak dłużej! Coraz częściej upadam na duchu i nie mam ochoty wstać i walczyć. Tak było ostatnio, gdy kompletnie załamana psychicznie, postanowiłam raz na zawsze z sobą skończyć”. Tak napisałaś w liście. Pamiętasz?

— To było dwa miesiące przed moją osiemnastką. Z niedzieli na poniedziałek. Zostałam sama w internacie. Dziewczyny pojechały do domu. Czulałam się strasznie. Wstałam z łóżka i wzięłam tabletki, jakie był. Różne. Najpierw dziesięć. Poczekalam z pół godziny, ale nic. Potem dołożyłam gdzieś ze trzydziestu i poszłam spać splakana. Przebudziłam się nad ranem. Serce waliło mi szybko. Dowlokłam się do okna — świeże powietrze nie pomogło. Zapaliłam światło i spojrzalam w lustro: byłam blada jak śmierć. Wyszedłam do łazienki na nogach z waty. Akurat przechodził profesor. Zapytał, jak się czuję, i zaproponował jakieś tabletki. Nie chciałam. Musiałam rzeczywistość wyglądać koszmarnie, bo wezwał pogotowie. Doktor mnie zbadał, a potem zapytał, czy nie brałam jakichś prochów. Powiedziałam, że nie. Pogotowie odjechało. Dalej miałam huk w uszach. Myślałam, że grzebne. Teraz myślę, że te tabletki dopiero rano na dobre zaczęły działać. Przyjechały dziewczyny i zawlokły mnie do szpitala. Tam też nie powiedziałam, że się trulałam. Podłączyli mnie do kroplówki, poleżałam dzień i wyszłam z tego.

ZOSIA jest uśmiechniętą, młodą, wysoką dziewczyną. Mieszka w jednym z bloków na osiedlu Czuby. Wprowadziła się niedawno do dwupokojowego mieszkania. Na Czubah czuje się bardziej obco niż na Bronowicach, gdzie mieszkała poprzednio z mamą: tam wszyscy się znali, panowała prawie rodzinna atmosfera.

— Na szczęście — mówi Zosia — meble do mieszkania, kupiłam pół roku temu, gdy ceny były inne; gdybym teraz musiała to wszystko urządzać, to nie wiem, czy bym dała radę.

Zosia wstaje rano o godzinie piątej trzydziestej, przygotowuje śniadanie i wychodzi do pracy — do Spółdzielni Niewidomych, gdzie pracuje od siódmej do piętnastej. Dojeżdża tam dwoma autobusami z przesiadką. Gdy przeprowadziła się na Czuby, przez pewien czas musiała uczyć się nowej drogi do pracy. Początkowo, jadąc autobusem, liczyła przystanki i w ten sposób orientowała się, gdzie ma wysiąść. Obecnie nabrała już wprawy, wie, gdzie się znajduje, wyczuwając zakręty podczas drogi. Podróż do pracy nie sprawia jej większych kłopotów. Czasami jednak na przystankach zdarzają się nieporozumienia. Gdy podjeżdżają autobusy, Zosia pyta czekających ludzi o numer. Niestety, nie zawsze uzyskuje odpowiedź.

— Dobrze byłoby — mówi Zosia — gdyby każdy kierowca podawał przez mikrofon, jaki numer ma podjeżdżający autobus, to pomogłoby nie tylko mnie, ale również ludziom starszym.

Zosia pracuje w centrali telefonicznej. Jest zadowolona ze swojej pracy. Uważa jednak, że środowisko ludzi niewidomych jest zamknięte. Częściowo jest to spowodowane przez postawy ludzi widzących: ludzie niewidomi są niechętnie przyjmowani do pracy.

— Dyrektorom różnych zakładów wydaje się, że nie jesteśmy dobrze przygotowani do pracy, a tak nie jest. Ja mogłabym pracować w każdej centrali telefonicznej.

Po pracy robi zakupy. Artykuły spożywcze kupuje sama. Jeżeli kupuje ubranie lub coś do domu, prosi o pomoc mamę lub znajomych. W sklepach spożywczych i mięsnych zazwyczaj nie stoi w kolejce, ponieważ ma prawo do pierwszeństwa w zakupach. W efekcie jednak bardzo często wychodzi z tych sklepów ze łzami w oczach.

Po południu wraca do domu i przygotowuje obiad. Najczęściej gotuje ziemniaki z mięsem, gdyż to zawsze wychodzi jej najlepiej.

Wieczorem sprząta, prasuje. Podczas wykonywania tych czynności zawsze włączony jest magneto-

— Nie było ci żal życia?

— Nie. A jakie ja mam perspektywy na przy-

LUDZIE,

Ewa Czerwińska

słość?! Nie wierzę, że wada zatrzyma się. Będę ślepa, rozumie pani?

— Masz okulary?

— Mam, ale takie okropne, że nie noszę.

— Nie przesadzasz? Pokaż.

Przynosi z pokoju okulary. Wkłada. Zza grubych szkielek nie widać już tak dobrze ładnie wykrojonych oczu.

— No? Czy nie okropne? A ja i tak nie będę chodzić w okularach. Do moich szkielek nawet oprawek nie można dobrać...

Zdejmuje okulary i z powrotem zanosi do pokoju.

— Są takie sobie. Nie czujesz, że w ten sposób sama pracujesz na swoją wadę?

— Nie zależy mi. Teraz to może z dziesiątego piętra się rzucać...

— Szantażujesz.

— Pani nie zna mojej matki. Często mnie biła. Mówiła: chodząca ślepotą. Dla żadnego z dzieci — a jest nas czworo: młodsza siostra i dwóch starszych braci — nie jest taka. Kiedyś, jak mnie szarpnęła, to mi okulary spadły. Chce, abym poszła do pracy. O każdą złotówkę zebrać muszę. Koleżanka poszła do pracy w mleczarni. „Ona zarabia tyle, a tobie się chciało uczyć” — ciągle mi mówi. I jeszcze: „Rzuć te książki, tyle się nauczysz, co na psów szczekać”.

fon. Zosia bardzo lubi słuchać nagranych na taśmie tzw. „książek mówionych”.

Trzy razy w tygodniu chodzi na treningi sportowe. Golbal — tak się nazywa dyscyplina, którą uprawia Zosia. Ta gra dotarła do Polski z Zachodu na początku lat osiemdziesiątych. Sportowcy podczas gry posługują się specjalną piłką, która tocząc się między zawodnikami, wydaje dźwięk i dzięki temu orientują się oni, gdzie znajduje się w danej chwili. Zosia stoi na pozycji obrońcy. Wraz ze swoją drużyną zdobywa medale na różnych zawodach sportowych.

SEN

Anna Mickiewicz

Praca, zakupy, zajęcia domowe, treningi — tak układa się życie Zosi. Stara się ona wykonywać te same czynności co ludzie widzący, choć nauka każdej z nich jest bardzo długa i wymaga cierpliwości. Bariery pojawiają się każdego dnia. Pewnego razu chciała mamie zawiesić firanki, ale tak, by układały się ładnie. Wpadła na pomysł, że można by przed zawieszeniem odmierzyć równe odstępy na firance, zrobić zakładki i zaznaczyć szpilkami. Firanki po zawieszeniu wyglądały bardzo ładnie.

Pokonanie każdej nowej, pojawiającej się bariery sprawia Zosi wiele radości.

Za największy swój sukces życiowy uważa to, iż pewnego dnia odważyła się i nauczyła chodzić sama. Przez bardzo długi czas, aż do roku 1981, Zosia wychodziła z domu tylko razem z mamą. Dopiero gdy poznała Andrzeja — niewidomego studenta prawa, który ze swobodą i bez lęku poruszał się po mieście — ona też postanowiła się usamodzielniać. Andrzej bardzo długo uczył ją, jak należy rozpoznawać ulice i przystanki. Jednak Zosia mimo licznych prób nie mogła się odważyć i samodzielnie wyruszyć w podróż. Pewnego razu Andrzej zaprosił ją do akademika. Tym razem spóbowowała pierwszy raz wyjść z domu sama. Pierwsze kroki stawiała ostrożnie, pomagając sobie laską. W momencie, gdy dotarła do przejścia, ktoś podszedł do niej i zaproponował pomoc. Po krótkiej rozmowie okazało się, że osoba ta jedzie w tym samym kierunku co Zosia. Tak oto pierwsza próba samodzielności nie udała się.

Uczę się dobrze. Gdyby nie te oczy, to by mi jeszcze lepiej szło. Matka nie może przeżyć, że po zawoławce jeszcze do technikum poszłam. Powiedziała, że grosza nie da. I nie daje. Teraz zrezygnowałam z internatu. Czterdzieści cztery tysiące trzeba płacić za miesiąc. Tylko ojciec mi coś daje. Ale też głowę zawraca, żebym nie psuła oczu nad książkami, tylko szła do pracy. Zaczęłam sobie załatwiać rentę, ale przyznają mi trzecią grupę, a to nie daje żadnych uprawnień... Moja choroba jest z nerwów. Urodziłam się z dodatkowymi kciukami. Matka pół roku kryła się z tym przed ludźmi. Wstydziła się. Po rojtu do-

chcę, żeby ludzie o mnie wiedzieli. W moim wieku to się rzadko zdarza taka krótkowzroczność. W klasie nikt nie nosi okularów... A jak pójść do szpitala, to tam tylko same stare babki... I dziwią się: coo, taka młoda, a już ślepa... Chcę, żeby ludzie traktowali mnie normalnie.

— Rozumiem. Czujesz się mniej wartościowa i chcesz to ukryć. Sądzisz, że ktoś cię nie zaakceptuje, bo masz wadę wzroku, prawda? Rozejrzyj się wokół. Iluż ludzi żyje z jeszcze poważniejszymi defektami. Nie jesteś sama, nie widzisz tego? Walcz.

ZABIERZCIE MNIE STĄD!

piero mi to zoperowali. Myślę, że wstydzi się mnie do dziś. Nie kocha mnie. Zawsze byłam ta gorsza, ta ślepotą... Teraz pani rozumie? Ja, proszę pani, mieszkam na wsi. Tu każdy o każdym chce wiedzieć.

— Napisałaś: „Wstyd mi, że żyję, ale NA ŚWIAT SIĘ NIE PROSIŁAM. MAMO! PRZEPRASZAM, ŻE SIĘ NARODZIŁAM. ALE OBIECUJĘ, ŻE SIĘ TO WIĘCEJ NIE POWTÓRZY”...

— Nienawidzę matki.

Milczymy.

— Bardzo potrzebujesz jej miłości... Bardzo ci na niej zależy, wiesz? A może ona nie jest w stanie dać ci jej tyle, ile pragniesz? Może za dużo chcesz? Od niej, od innych... Wiesz, jacy ludzie targają się na własne życie?

— Tacy, jak ja. Co nie chcą żyć. Proste.

— Posprzecajmy się. Ja myślę, że tacy, którzy są bardzo mocno w sobie zakochani. A kiedy świat nie może sprostać ich wymaganiom, bo to jest niemożliwe, wtedy wpadają w rozpacz, totalną, do dna, do desperacji. Czy mówisz w domu, koleżankom szczerze, co czujesz? Że jest ci źle, że panicznie boisz się przyszłości? To pomaga, wiesz? Bo wtedy mogą bardziej zrozumieć twój problem, twoje nerwowe reakcje...

— Nie rozmawiam. Po co? I tak nikt mnie nie zrozumie... Jakbym ludziom mówiła, co mam z oczami, to by była kompromitacja! Jak jakiś chłopak proponuje mi chodzenie, to zawsze mówię: nie. Nie

Andrzej znalazł jednak sposób. Pewnego razu zostawił Zosię samą na jednym z przystanków, mówiąc, że za chwilę ma autobus. Została sama, daleko od domu, pamięta, że ogarnął ją wtedy lęk. Powoli jednak zdawała sobie sprawę, że jest to szok na głęboką wodę i trzeba się ratować. Pierwszy etap podróży do domu był prosty — wsiadła do autobusu i dojechała na Bronowice. Najtrudniej jednak było pokonać drogę między przystankiem a domem. Gałęzie drzew, nierówny chodnik — wszystko było przeszkodą. Po wielu potknięciach dotarła z rozciętym policzkiem do domu.

O DREWNIANYM DOMU

— Był to mój wielki sukces — mówi teraz. — Większy niż te wszystkie puchary i osiągnięcia sportowe.

Był to w życiu Zosi bardzo ważny okres. Gdy zaczęła samodzielne chodzenie, za każdym razem, wychodząc z domu, pokonywała lęk. Po pewnym czasie sama zaczęła jeździć do pracy. Przedtem zawsze odwoziła ją mama, często także oczekiwała na nią na przystanku. Zosia jednak buntowała się i mówiła wtedy: „Nie wychodź po mnie; jak się ma coś stać, to się stanie; nie mam wyjścia, muszę nauczyć się samodzielności, przecież nie będziesz mi pomagać przez całe życie”. Mimo wszystko jeszcze bardzo długo mama każdego dnia stała w oknie i w napięciu oczekiwała na córkę. Teraz ona bez większych kłopotów porusza się po mieście.

Najcięższe chwile Zosia przeżyła po operacji oczu. Najgorsze były sny, a śniło jej się, że jest ubrana w piękną kolorową bluzkę. Po przebudzeniu napotykała opatrunki i świadomość tego, że nie widzi. Sny te w tym okresie wywoływały w niej prawdziwą rozpacz. Po upływie pewnego czasu sytuacja zmieniła się. Zosia nie odczuwała już tak wielkiej rozpacz. Nadal śniła jej kolorowe sny i polubiła je bardzo. Mówi o nich z dużą radością.

— Dziwna rzecz, bardzo często śni mi się, że jestem niewidoma, idę nawet z laską, ale wszystko widzę.

Najczęściej śni jej się Piszczac — miejscowość, z której pochodzi — drewniany, duży dom; koleżanki.

Oni próbują walczyć. Dzięki temu żyją. A wiesz, dlaczego walczą? Bo zaakceptowały siebie. Mówisz sobie: nieczyja to wina, że taka jestem. Jestem taka i już. Do nikogo nie mogę mieć pretensji. Muszę z tym żyć. Nie mam wyjścia. Izolacja od świata niczego nie poprawi. Wręcz przeciwnie... Nie chcę cię pouczać. Chcę ci pomóc.

Herbata wystygła. Chwila przerwy. Na elektrycznej kuchence szumi czajnik. Jedyne głoś w ciszy.

— Miałam nadzieję — odzywa się cicho. — To było po tym truci. Dowiedziałam się od profesorki, że w Związku Radzieckim operują moją wadę. I to z sukcesem. Napisałyśmy list do ambasady w Warszawie — co zrobić, żeby tam się dostać. Długo czekałam, wreszcie przyszła odpowiedź, że ambasador zaprasza na rozmowę. Pojechałam. Powiedzieli, że to da się załatwić, tylko muszę mieć paszport i zezwolenie od wojewódzkiego konsultanta. Bardzo mnie to podniosło na duchu. Uwierzyłam. Paszport załatwił mi ojciec, w jeden dzień. Pozostała tylko wizyta u profesora. Zdenerwował się, zaczął krzyżeć, że to niemożliwe, ryzykowne, że tego nie robi się w tak młodym wieku... I że nie będzie brał odpowiedzialności za tę moją decyzję... Wysłałam z płaczem. Ja przecież jestem dorosła, prawda? Sama o sobie decyduję. Może gdybym jeszcze raz porozmawiała z profesorem... Trudno się do niego dostać... Pomoże mi pani?

— A będziesz nosić okulary? — żartuje.

— Będę — odpowiada po chwili wahania.

Po raz pierwszy w jej oczach widzę nie tylko smutek.

Podczas tych snów wybiera się do pracy, a wszystko dzieje się w otoczeniu domu jej dzieciństwa.

— Piszczac śni mi się tak często chyba dlatego, że często powracam tam myślami; tęskniłam za tym domem, gdyż był on kiedyś czymś tylko od święta; większość czasu spędzałam w internacie.

Stosunek ludzi widzących do ludzi niewidomych jest bardzo różny — stwierdza Zosia.

Najbardziej drażnią ją reakcje ludzi, którzy litują się nad nią lub uważają, że udaje niewidomą.

— To boli, gdy słyszy się nagle: „Czy to pani tak musi do sklepu, czy to w domu nie ma komu”.

Najgorzej bywa w sklepach i autobusach; można tam usłyszeć: „Jak tak, to nic nie widzi, ale do lady to wie, jak dojść, a jak wyjdzie, to zobaczy pani, jak pomaszeruje!”

— Ja bym się chętnie pozbyła wszystkich przywilejów — mówi Zosia — by mieć odrobinę wzroku.

Opowiada to wszystko z humorem, nie rozczuła się nad sobą. Inaczej jednak jest teraz, gdy rozmawiamy o tym w domu; inaczej, gdy nagle spotyka ją przykrość, wtedy mocniej to przeżywa; zdarza się, że w takich chwilach często płacze i mówi: „Ja nie widzę, ale słyszę. Jest wokół mnie również mnóstwo ludzi, którzy chcą mi pomóc; liczą się dobre intencje”.

Siedzimy obie z Zosią w dużym pokoju, dobrze nam się rozmawia. Zosia rozłożyła na stole czystą serwetkę, przygotowała herbatę i ciasto.

— Bardzo lubię, gdy mnie ktoś odwiedza; zawsze wieczorem mam trochę czasu.

W pokoju panuje idealny porządek, na regale wśród porcelany stoją kryształowe puchary, zdobyte na zawodach sportowych. Zosia siedzi obok mnie, wydaje mi się, że widzi każdy mój ruch. Moje wrażenie potwierdza jej mama, która mówi, że Zosia często intuicyjnie wyczuwa gesty i mimikę.

PRZESIEDLENIA UKRAIŃCÓW

Ciąg dalszy ze str. 6

Ukraińców zostało się jeszcze na terytorium państwa polskiego. [...] nasze stanowisko jasne [...], swojej ziemi nie opuścimy pod jakąś umową ani pod wpływem żadnych pogroźek czy represji. [...] w obronie własnej ziemi zniesiemy jeszcze prowokację, wytrzymamy prześladowanie. Nawet kiedy by tyrania zapanowała na naszych terytoriach. Kiedy by nawet odebrano nam nasze majątki i spalono nasze domy, to i wtedy mieszkalibyśmy dalej w ziemiankach i lasach [...]. Zdrowy racjonalny rozum nakazuje każdemu świadomemu Ukraińcowi nie opuścić dobrowolnie swojej rodzonyj ziemi, bo kto ją opuszcza, ten popełnia zło czyn przeciwko swojej ojczyźnie”.

W odniesieniu zaś do problemu przyszłej granicy polsko-ukraińskiej w „Uniwersale Ukraińskiej Hołownoi”, skierowanym do Polaków, stwierdzono: „[...] nie zmuszajcie do przesiedlenia, bo ukraiński naród odpowie wam zbrojną samoobroną! I tym zresztą nie rozstrzygniecie kwestii naszej wspólnej granicy na Wschodzie, bo te tak ważne problemy ostatnie rozstrzygną rzeczywiste rządy ukraińskiej i polskiej państwa”.

Nacjonaliści ukraińscy w szerokim zakresie — głównie poprzez kolportaż ulotek — usiłowali oddziaływać na społeczeństwo polskie, wskazując na zaborczy charakter poczynań władz radzieckich wobec narodu ukraińskiego i polskiego.

W ulotce zatytułowanej „Polscy żołnierze” czytamy m. in.: „Zaprzędani cudzym, kremłowskim dyktatorem, dzisiejsi mocodawcy każą wam terroryzować i wypędzać ludność ukraińską ze swoich wiosek. Podli sługusi moskiewskiego dyktatora i zdrajcy własnego narodu chcą z was zrobić ślepe narzędzie dla wykonywania planów czerwonego moskiewskiego imperium, a wasz polski mundur i godła narodowe chcą wykorzystać dla swoich barbarzyńskich celów zniszczenia ludności ukraińskiej. Pamiętajcie jednak polscy żołnierze, że ta droga wysługiwania się imperiaлизmowi jest nie tylko nieczna i haniebna, ale również zgubna dla waszego własnego narodu”.

W ulotce „Żołnierze Wojska Polskiego” stwierdzono: „nie słuchajcie rozkazów stalinowskich sługusów, którzy rozkazują wam terroryzować i wypędzać ludność ukraińską, którzy chcą wykopać waszymi rękoma jeszcze większą przepaść między naszymi narodami”.

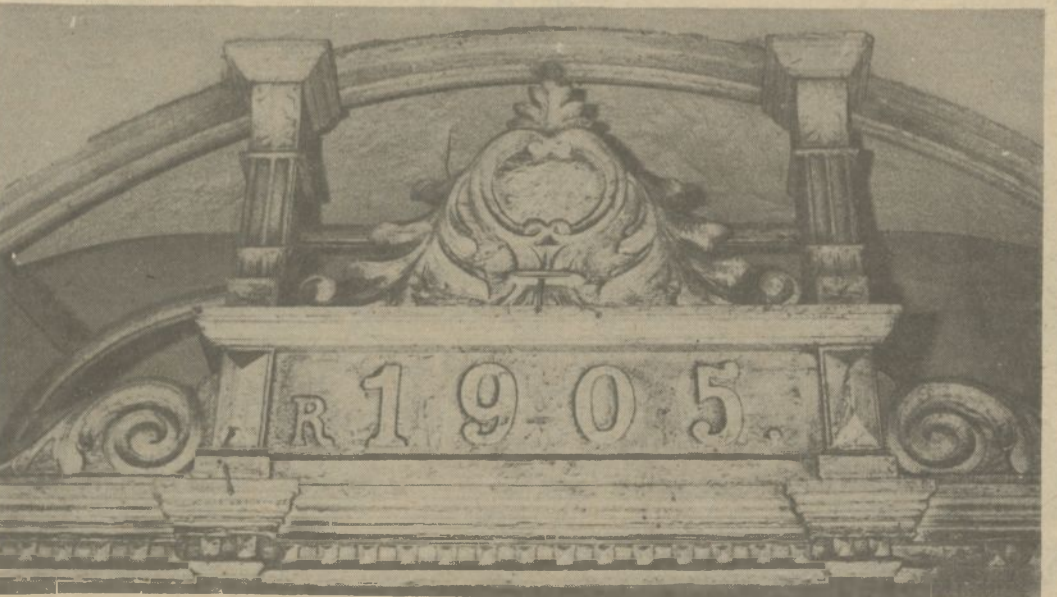
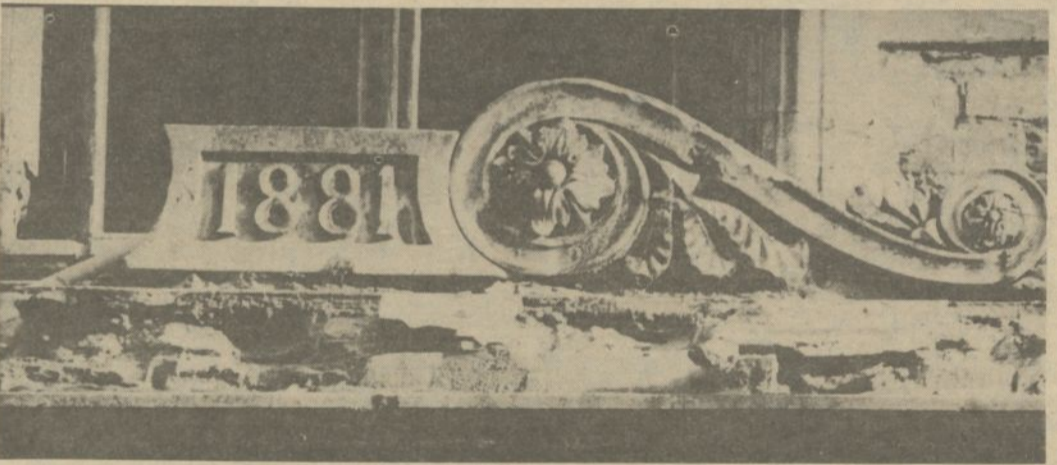
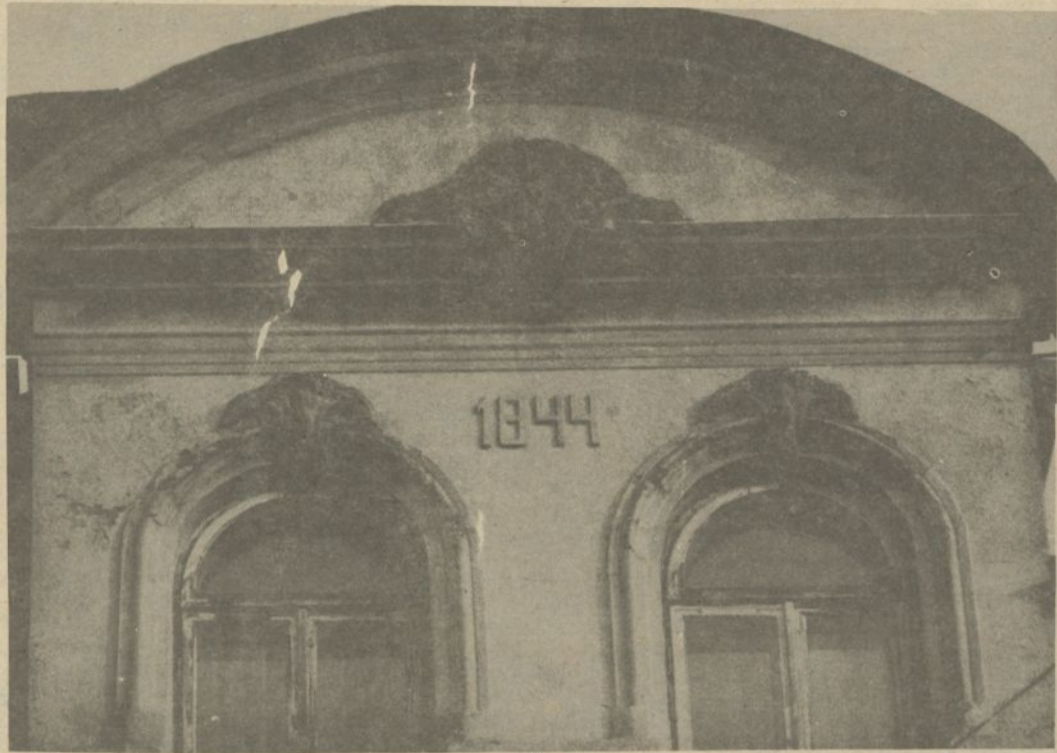
Z kolei w ulotce „Polacy” nacjonaliści ukraińscy składali deklarację: „nie chcemy przedłużenia walki polsko-ukraińskiej, lecz przeciwnie, chcemy jedności i współpracy dla naszych wspólnych celów, większych i ważniejszych od wszystkich minionych czy teraźniejszych nieporozumień sąsiedzkich. Nie chcemy żadnych napaści i waśni”.

W rozkolportowanej w październiku 1945 roku na terenie powiatu tomaszowskiego i hrubieszowskiego ulotce „Do wszystkich narodów cywilizowanych” w odniesieniu do wysiedleń stwierdzono: „lecz moskiewscy czerwoni imperialiści zatrwożyli się, widząc, że porozumienie i współpraca narodów polskiego i ukraińskiego mogą doprowadzić do wzmocnienia frontu przeciw-bolszewickiego narodów uciemięzonych przez ZSRR oraz wzmocnić ich walkę o wyzwolenie spod panowania moskiewskiego. Dlatego to został wydany rozkaz rządowi polskiemu: wysiedlić za wszelką cenę wszystkich Ukraińców, by w ten sposób znowu poróżnić oba narody. Wzajemna bowiem walka narodów uciemięzonych jest bardzo korzystna i potrzebna dla imperialistycznej polityki Moskwy. Gdy próba wysiedlenia Ukraińców za pomocą terroru milicji państwowej i zorganizowanych cywilnych band nie udawała się, rząd Polski [...] podjął akcję przymusowego wysiedlenia ludności ukraińskiej przy pomocy licznych oddziałów wojskowych [...], komendantami tych oddziałów są prawie wyłącznie oficerowie bolszewicy w mundurach polskich”.

Treść powyższych ulotek jednoznacznie wskazuje na zachodzące wówczas przewartościowanie stosunku nacjonalistów ukraińskich wobec Polaków. Podyktowane ono było tym, iż od lipca 1944 roku nacjonalistyczne organizacje ukraińskie, działające w tzw. „Zakierzońskim Kraju”, znalazły się w znacznie trudniejszym położeniu aniżeli w czasie okupacji hitlerowskiej. Przede wszystkim ograniczony został obszar ich działania, pogorszeniu uległy możliwości aprowizacyjne. Dalsze kontynuowanie działalności zbrojnej przeciwko ludności polskiej stawiałoby OUN i UPA w niezwykle trudnej sytuacji, gdyż mieliby przeciw sobie dwóch wrogów, tj. z jednej strony wojsko, NKWD, organy bezpieczeństwa i porządku publicznego, a z drugiej oddziały podziemia poakowskiego.

Stąd też zmiana stosunku nacjonalistów ukraińskich wobec ludności polskiej miała charakter raczej koniunkturalny i obliczona była na pozyskanie ludności cywilnej i tych, którzy pozostali w podziemiu. Temu celowi służyły też rozmowy prowadzone pomiędzy nacjonalistami ukraińskimi a przedstawicielami podziemia poakowskiego. W odniesieniu do powiatów tomaszowskiego i hrubieszowskiego zapoczątkowane wiosną 1945 roku obustronne negocjacje wpłynęły w znacznym stopniu na wyciszenie walk narodowościowych, jak również nie dochodziło do starć pomiędzy oddziałami poakowskimi i UPA.

Ciąg dalszy na str. 10



ŚL

- fotografował Waldemar S.

ZOSTAWIĆ ślad i choćby pozornie zwyciężyć przemijanie. Oto pragnienie tak trwale jak sama ludzkość.

Daty na zwieńczeniach domów i kamienic w Lublinie. 1844, 1880, 1881, 1911. Nie łączą się z przelomami dziejów. Przywołują co najwyżej w wyobraźni obrazy powolnego życia, turkotu gumowych kół po kocim bruku, skrzekliwego nawoływania przekupek, parującej w kotłach kapuchy, życia ulicznego, wymuskanego i zakamarkowego, pełnego tajemnic i cieni nieujawnianych namietności. Pełne ornamentyki i fantazji są te dowody lat pokoju.

Jeszcze barokowy sznyt, jak nagle szarpnięcie gromadzącej się burzy, jak pierwszy odruch nadchodzącego wieku mas, pojawi się przy roku 1905. Ale już 1914 i 1917 mają skromne łukowate tło. Braknie przecież czasu i cierpliwości na zdobienie rękodzieła, gdy wokół szaleje sztorm. Pośpiech wojenny i topniejące fundusze nakazują prostotę, uporanie się z budową, póki jeszcze nie nazbyt późno. Widać to po owych stropach i zunifikowanych plafonach. Jeszcze tylko secesja podretuszuje trochę kształt liter i już zafunkcjonują szablon, bylejakość, norma.

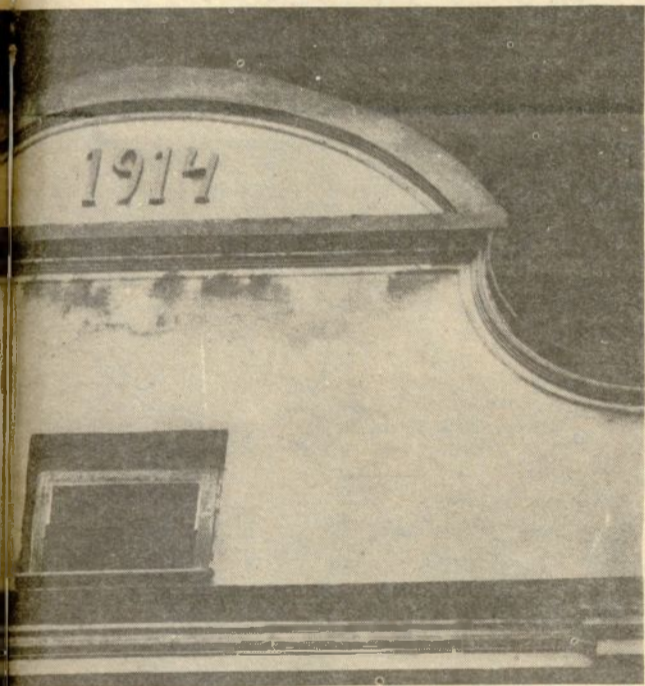
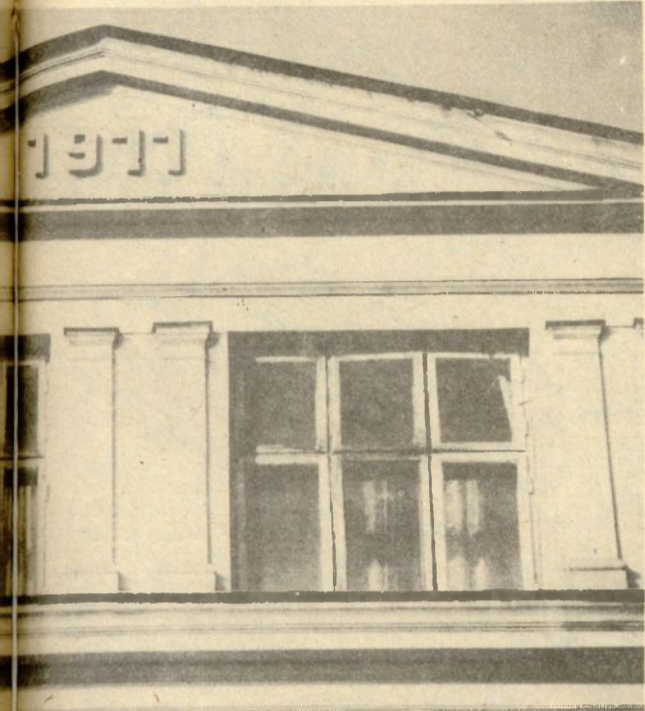
Dziś spacer wyobraźnią pod dachami kamienic zakłóci plama farby nałożona bezmyślną ręką. Objaw bezrozumu i pogardy dla tradycji? Czas skutwionego zabiegania z nosem przy chodniku? Czas nie pozwalający zerkać na okruchy piękna? Czas wydania przeszłości na powolne zniszczenie?

Wiesław Horabik



A D

Stępień



W 35. numerze „Relacji” w artykule „Łącać w całym kraju” dyskutowałem sam z sobą na temat lubelskich pomników. Dziś porozmawiamy sobie kwestię nazewnictwa ulic, jednego z relikwów, wcale nie ostatnich, radosnej twórczości w dziedzinie urabiania świadomości dla smutnej rzeczywistości. I jest do rymu, ale nie do śmiechu. Zachęciły mnie do pisania na temat patronów ulic trzy rzeczy: listy Czytelników, spiączka komisji nazewnictwa oraz to, że mnie osobiście (a mam chyba sporo stronników) wcale nie jest obojętne, po czyjej ulicy chodzę w czasach, kiedy na powrót usbrają się orła w koronę. Wreszcie, także i to, że społeczna inicjatywa przemianowania wielu ulic z 1981 roku przez dziewięć lat nie doczekała się realizacji.

Powojenny pęd do przemalowywania Polski na jedną barwę, jedynie słusznej i szczęśliwej rzeczywistości spowodował, że zniknęły tradycyjne, nieraz setki lat istniejące nazwy, a na ścianach domów pojawiły się nazwiska znane z czytanek i podręczników historii najnowszej.

Za jednym zamachem skasowano wszystkie ulice „zakonne”, m.in. Świętoduską, Kapucyńską, Bernardyńską, Jezuicką, Wizytkową itp. Nie podobało się nazewnictwo związane z tradycją legionową i niepodległościową, przez czterdzieści parę lat nie było miejsca dla wybitnych postaci II Rzeczypospolitej. Znalazło się ono za to dla paru patronów podejrzanego konduity. I tak na przykład, jedną z pryncypalnych ulic ochrzczono mianem Mariana Buczka, terrorysty, wsławionego wysadzeniem w powietrze warszawskiej prochowni, trzy inne ulice przydzielono trzem innym

ZRZUĆMY TĘ SKORUPĘ!

Leszek Wiśniewski

bojówkarzom KZMP — Hibernowi, Kniewskiemu i Rutkowskiemu, jeszcze inną — twórcy aparatu stalinowskich represji — Franciszkowi Józwiakowi. Mammy też patronaty przeciwniczki niezależnego bytu państwowego Polski — towarzyszkii Róży Luksemburg, oraz organizatora dywersyjnego tzw. rządu białostockiego z 1920 roku — Juliana Marchlewskiego, czy wreszcie wybitnych przedstawicieli radzieckiego życia politycznego w rodzaju Włodzimierza Lenina, Wandy Wasilewskiej i Georgi Dymitrowa.

Jeszcze nie tak dawno w centrum Lublina otwarto nową arterię komunikacyjną zamianowaną natychmiast Aleją Gomułki, człowieka odpowiedzialnego za grudniową masakrę stoczniovców. A inne nazwy, jak prezentują się po latach? Aleje PKWN, Manifestu Lipcowego, Proletariuszy, Bohaterów ORMO...

Przy okazji rozprawy z figurą Bieruta zlikwidowano plac i ulicę jego imienia (tworząc nie wiedzieć czemu w tym miejscu — Lwowską), ale poza tym nie zmieniono już niczego. Nie szkodzi, jest jeszcze trochę czasu. Uważam natomiast, że fragmentaryczne podejście do tego problemu jest błędem i sprawę nazewnictwa należy załatwić jednorazowo i w całości.

A TERAZ oddajmy głos moim zwolennikom. Oto fragmenty niektórych listów do redakcji:

„1. Dawna ulica Peowiaków nosi obecnie nazwę stachanowca Pstrowskiego. Czyż wyniesiony przez propagandę bohater urojonej pracy, niezgodnej z wytrzymałością fizyczną człowieka, może się równać z tysiącami nieznanymi i oddających często życie za Polskę Bohaterów POW?”

2. Jakim prawem istnieją w Lublinie ulice Róży Luksemburg, Marchlewskiego i innych, którzy w roku 1920 chcieli uczynić z Polski republikę radziecką?

3. Jak byłby sądzony przez sądy PRL rzekomy bohater komunistyczny, najdłuższy więzień tzw. sanacji, gdyby wysadził w powietrze obiekt wojskowy w Polsce Ludowej? Dawna ulica Zamojska nosi jego nazwisko. Może by Prezydent i Rada Miejska porównali zasługi Buczka z Janem Zamojskim?”

„Od dawna zastanawiałam się nad nazwą ulicy Dymitrowa. [...] Dymitrow Georgi nie był Polakiem, lecz Bułgarem. W Polsce przebywał jeden jedyny raz — w maju 1948 w Warszawie na czele delegacji w związku z podpisaniem układu o przyjaźni, współpracy i pomocy wzajemnej między BRL a RP [...]. Spotkał się z nim B. Bierut, skierowany z Moskwy w 1930 roku przez Komitet Wykonawczy Międzynarodówki Komunistycznej do Bułgarii. I to jest prawdopodobnie jedyny powód, by serdeczny towarzysz B. Bierut miał swoją ulicę w Lublinie”.

„Jedną z ulic Lublina została mianowana ulicą Róży Luksemburg. Nazwa ta jest jak najbardziej nie na miejscu. Wiemy dobrze, że Róża Luksemburg ostro sprzeciwiała się walce o wyzwolenie Polski z niewoli. Jej imię, jako jakiś znaczący dla Polski symbol, budzi sprzeciw i gniew”.

No cóż, ulica Dymitrowa. Sympatyczne. Jako szef Kominternu położył podpis pod decyzją o rozwiązaniu KPP, co równało się wyrokowi śmierci na pol-

skich komunistów. I tak dziś towarzysz Dymitrow sąsiaduje w śródmieściu Lublina ze skazanymi przez niego towarzyszami Próchnikiem i Leńskim. O ironio! Ulica ta nosiła ongiś nazwę Radziwiłłowskiej, od położonego tam pałacu tego rodu. Nazwa bardzo ładna, mam jednak na dziś inną propozycję. Myślę, że dobrze by się stało, gdyby przemianować ją na ulicę gen. Mieczysława Smorawińskiego, zamordowanego w Katyniu ostatniego dowódcę Okręgu Korpusu w Lublinie. Generał Smorawiński, dzielny żołnierz i prawy człowiek, odznaczony czterema Krzyżami Walecznych i Virtuti Militari, przez pięć lat mieszkał w budynku DOK przy Pl. Litewskim 3, na którego zapleczu biegnie obecna ul. Dymitrowa. Wydaje mi się, że miasto mogłoby uhonorować tę postać.

Lublin, tak skory do rozdzielania nienależnych zaszczytów, zapomniał też jakoś o paru ludziach, którzy co nieco tu zrobili, jak: Vetterowie, Hess, Wolscy, dr Władysław Tołwiński, inż. Jerzy Rudlicki i wielu jeszcze innych. Zasłużeni społecznie, jak Sztajn, Biczynski, Łopaciński, zostali „zepchnięci” na podrzędne uliczki. Miasto, w którym miało miejsce jedno z najważniejszych wydarzeń w naszej historii, nie ma placu Unii Lubelskiej. Czy dlatego, że jest on w Warszawie?

W ARTO chyba oddać głos ludziom najbardziej kompetentnym — krajoznawcom i przewodnikom lubelskim. W piśmie skierowanym do Miejskiej Rady Narodowej jeszcze w 1988 roku, podpisanym przez Jana Adamka, Marka Wyszowski, Piotra Sempłińskiego i Zygmunta Nasalskiego, zasłużonych lubelskich regionalistów, czytamy, m.in.:

„Komisja Historii i Tradycji ZW PTTK. Komisja Przewodnicząca ZW PTTK oraz Koło Przewodników Miejskich i Terenowych w Lublinie wnoszą o przywrócenie niektórych nazw ulicom Lublina, związanych z historią i postaciami okresu odzyskania niepodległości w 1918 roku, tj:

- al. Piłsudskiego, obecnie — al. Swierczewskiego,
- ul. Legionowa, obecnie — ul. Przdowników Pracy,
- ul. płk. Beliny-Pradzmowskiego, obecnie — ul. R. Luksemburg,
- ul. płk. Lisa-Kuli, obecnie — ul. S. Duboisa,
- ul. Beliniaków, obecnie — ul. M. Fornalskiej,
- ul. gen. Orlicz-Dreszera, obecnie — ul. M. Nowotki,
- ul. Peowiaków, obecnie — ul. W. Pstrowskiego.

W pełni świadomi zasług osób, patronujących obecnie tym ulicom i konieczności ich upamiętnienia, proponujemy nazwać ich imieniem ulice powstające w nowych dzielnicach miasta. Zdajemy sobie sprawę z kosztów tego zamierzenia, szczególnie istotnych w obecnym okresie. Sądymy jednak, że mieszkańcy tych ulic, zawsze patriotycznie nastawieni obywatele naszego miasta, jak i instytucje, mające tam swe siedziby, odniosą się ze zrozumieniem do tej propozycji i zechcą ponieść, choć częściowo, związane z tym koszty.

Zwracamy uwagę, że społeczna inicjatywa przywracania dawnych nazw ulicom Lublina datuje się od 1981 roku i zyskała częściowo akceptację władz miejskich”.

Nie chciałbym być poświadczony o napastliwe krytykanctwo, dlatego przedstawię nieco własnych propozycji, na tyle oczywistych, że nie wymagają one naukowego aparatu badawczego i archiwalnych poszukiwań. Otóż widzę tu jak gdyby dwie sprawy. Po pierwsze — przywrócenie tradycyjnych, bezprawnie zabranych lubelińskim nazw, i po drugie — wprowadzenie na nasze ulice nowych patronów. Być może w miejsce postaci skompromitowanych lub Polakom niemitych.

A oto mój zestaw proponowanych nazw: Zamojskiego, Frycza-Modrzewskiego, Druckiego-Lubeckiego, Lelewela, Niedziakowskiego, Pużaka, Perla, Barlickiego, Abramowskiego, Dmowskiego, W. Grabskiego, Kwiatkowskiego, Witosy, Thugutta, St. Wojciechowskiego; generałów — Kleeberga, Piskora, J. Hallera, Dowbora-Muśnickiego, Andersa, Bora-Komorowskiego, Grot-Roweckiego, Sosnkowskiego, Orlika-Rückemanna, Sosabowskiego; Ofiar Katynia, Ofiar Zamku Lubelskiego, Bohaterów KOP, 8 pułku piechoty Legionów. I tak dalej, postulatów byłoby zapewne setki, toteż sugerowałbym coś w rodzaju lubelskiego referendum. Jestem również zdania, że należy powołać nowe gremium w miejsce dotychczasowej komisji nazewnictwa ulic, której członkowie śpią snem sprawiedliwych mędrców poprzedniej epoki.

PS. O dziwo, lublinianie do dziś używają nazwy Świętoduska. Mówią też, że idą „do Baży”, „do Kalkokiego”, kupują w sklepie „po Magierskim”. Cóż znaczy siła tradycji!

PRZESIEDLENIA UKRAIŃCÓW

Ciąg dalszy ze str. 7

Akcja przesiedlenia ludności ukraińskiej była dla podziemia ukraińskiego ciosem najdotkliwszym. Dowództwo UPA i kierownictwo OUN zdało sobie sprawę z powagi chwili, gdyż przymusowe wysiedlenie miało m. in. na celu pozabawić oddziały UPA oparcia wśród ludności cywilnej. Dlatego też w propagandzie ukraińskiej z tego okresu — na co wskazują wyżej cytowane fragmenty ulotek — widoczne było dążenie do wykazania ludności polskiej, że przesiedlenie jest aktem niehumanitarnym i ma na celu „poróżnić narody ukraiński i polski”. Celem zahamowania prowadzonych przesiedleń oddziały UPA likwidowały Komisje Przesiedleńcze i stawiały żądania opór jednostkom wojskowym.

Ciąg dalszy dramatu

NAJWIERNIEJ dramat społeczności ukraińskiej, zamieszkującej południowo-wschodnie tereny Zamojszczyzny, oddają składane przez Ukraińców do władz administracyjnych podania z prośbą o pozostawienie ich w dotychczasowym miejscu zamieszkania. Np. Szymon Zin w podaniu z 14 listopada 1945 r. pisał: [...] podczas okupacji niemieckiej miałem wprawdzie dowód ukraiński, jednak o niego się nie starałem. Ukraiński Komitet, uważając, iż prawosławne wyznanie jest równoznaczne z ukraińską narodowością, zmusił mnie do przyjęcia ukraińskiego dowodu. Podczas okupacji nie należałem do żadnych organizacji ani stowarzyszeń ukraińskich. Jako osiemdziesięciosześcioletni starzec pracowałem w zawodzie malarskim. Obecnie przyjmuję wyznanie wiary i proszę raz jeszcze pana starostę o wydanie mi zezwolenia stałego pobytu, które pozwoliłoby mi pozostać przy dzieciach i wnukach”.

Z kolei mieszkańcy wsi Kosmów (gm. Kryłów) w podaniu z 30 października 1945 r., skierowanym do starosty powiatowego w Hrubieszowie, prosząc o pozostawienie ich w dotychczasowym miejscu zamieszkania, motywowali to tym, że „przesiedlenie takowe, zwłaszcza rolnika, pociąga za sobą zupełną jego ruinę, jak materialną, tak również i moralną, i w świadomości wysiedlonego podobny akt pozostanie jako kara. Ponieważ my, mieszkańcy wyżej wspomnianej miejscowości, nie poczuwamy się do żadnej winy wobec państwa i narodu polskiego, która by w konsekwencji musiała za sobą pociągnąć aż tak surową karę, prosimy usilnie o pozwolenie skorzystania nam z postanowienia o dobrowolnym przesiedleniu się ludności i pozostania na miejscu. Tysiącletni okres wspólnego pobytu z ludnością polską i przebywanie pod wpływem instytucji, jakie istniały na ziemiach polskich, wytworzyły w nas pierwiastki psychiczne różniące się bardzo silnie od ludów zamieszkujących wschodnie tereny Europy. Przy tym przyrzekamy najchętniej i najdotkliwiej wykonywać wszelkie zarządzenia władz państwowych, aby w ten sposób najskuteczniej przyczynić się do odbudowy państwa polskiego”.

Akcja przesiedleńcza sprzyjała powstawaniu licznych nadszyci. Zagrożeni wysiedleniem Ukraińcy praktycznie byli w stanie oddać wszystko urzędnikom, aby tylko mogli pozostać w dotychczasowym miejscu zamieszkania. Np. w powiecie hrubieszowskim za wydane zaświadczenie stwierdzające, że określony Ukraińiec jest lojalnym obywatelem, niektórzy wójtowie, setki i mężowie zaufania pobierali łapówki np. w postaci 20 tys. zł, konia lub krowy.

Innym problemem, jaki wyłonił się w tym okresie, były nielegalne powroty Ukraińców wysiedlonych do USSR. Powracający zajmowali swoje gospodarstwa, usuwali z nich w międzyczasie nasiedlonych repatriantów zza Buga bądź zasilali szeregi UPA. W związku ze stosunkowo licznymi powrotami Ukraińców wojewoda lubelski W. Różga, 16 lipca 1945 r. wydał zarządzenie skierowane do starostów powiatowych, w którym zalecił powracającym traktować jako cudzoziemców oraz wydawać decyzję o wysiedleniu cudzoziemca i przymusowym odstawieniu go do granicy.

W kwestii postępowania z powracającymi Ukraińcami zajmowali stanowisko również przedstawiciele władz centralnych. I tak dyrektor Departamentu Politycznego Ministerstwa Administracji Publicznej w tajnym piśmie z 31 sierpnia 1945 r., skierowanym do wojewody lubelskiego, stwierdził, że „z punktu widzenia istniejących przepisów prawnych fakt wyjazdu ludności ukraińskiej z terenów Polski do ZSRR powoduje automatycznie utratę obywatelstwa polskiego”.

Natomiast główny przedstawiciel rządu RP ds. ewakuacji, J. Bednorz, w piśmie z 11 grudnia 1945 r., skierowanym do przedstawiciela rejonowego ds. ewakuacji w Tomaszowie Lubelskim, zalecał, aby „w razie nielegalnego powrotu ewakuowanych do USSR Ukraińców, przez „zieloną granicę” względnie w charakterze repatriantów, należy zawiadomić starostę powiatowego, dopilnować, aby władze administracji ogólnej doprowadziły Ukraińców do granicy i przekazały władzom sowieckim”.

Ten rygorystyczny stosunek władz wobec ludności ukraińskiej powodował, że w szeregu przypadkach, chroniąc się przed przesiedleniem, ukrywała się ona w lasach, bunkrach, lochach, wstępowała do oddziałów. Sygnalizował o tym zjawisku szef sztabu 5 Kołobrzeskiego Pułku Piechoty mjr Formán, który

Ciąg dalszy na str. 11

Dokończenie ze str. 1

Aldona, rodzonej siostry Feliksa Dzierżyńskiego, uzyskałem zamiar kary śmierci na dożywocie. Aldona była serdeczną przyjaciółką moją i żony. Z dożywociem wyrokiem przebywałem w więzieniu do roku 1956. W 1957 zostałem całkowicie zrehabilitowany.

— Jak zaczęła się pańska droga adwokacka?

— Studia prawnicze ukończyłem w r. 1935, po czym przez czas pewien pracowałem w ministerstwie. Aplikację adwokacką rozpocząłem w 1937 r., co oznacza, że należałem do adwokatury jeszcze przed wojną. Byłem aplikantem adwokata Zygmunta Hofmoka-Ostrowskiego, nie ojca, lecz syna, również sławnego adwokata. Dużo angażowałem się w pracach Macierzy Szkolnej, udzielałem się społecznie w adwokaturze, byłem obrońcą w sądach i więzieniach. Dodać należy, iż publikowałem w „Palestrze”, co było wówczas rzadkością wśród aplikantów. Jeszcze w numerze z sierpnia 1939 r. ukazał się mój duży artykuł na temat ordynacji wyborczej.

— Specjalnością pana są procesy polityczne. Który z nich uważa pan za swój największy sukces zawodowy?

— Był nim chyba proces grodzieńskiej grupy AK w 1962 r. Grupa ta prowadziła poważne walki z oddziałami Armii Czerwonej na Grodzieńszczyźnie, po których przekroczyła granicę Polski, rozproszyła się po kraju, przy czym jej członkowie nie prowadzili już działalności konspiracyjnej. Po kilkunastu jednak latach ktoś z tej grupy został zdemaskowany, a w ślad za nim aresztowano innych, co w sumie dało powód do wielkiego procesu w sądzie wojewódzkim w Białymstoku, który zakończył się rewelacją. Powołaliśmy się na treść ustawy o amnestii z 1956 r., która puszczala w niepamięć wszystkie czyny popełnione za granicą przez repatriantów. Oczywiście miano na uwadze powrót z Zachodu, ale w ustawie była mowa o działaniach prowadzonych w ogóle poza granicami kraju. A zatem, wedle prawa, grodzieńscy AK-owcy powrócili do kraju jako repatrianci i wszelkie ich działania należało puścić w niepamięć. Przeprowadzenie tej tezy było połączone z wieloma ciekawymi zdarzeniami, m. in. jeden raz tylko w procesie miałem to zdarzenie, że po moim przemówieniu dwóch spośród liczącej grupy milicjantów, konwojujących oskarżonych, płakało.

— Jakie doświadczenia wyniósł pan z procesów politycznych lat osiemdziesiątych, czy miały one swoją specyfikę?

— Naturalnie, miały. Wprowadzono wtedy szereg przepisów prawnych, które czyny dawniej dozwolone określały jako przestępstwa. Prócz tego pewną osobliwością procesów stanu wojennego było to, że wszyscy ogromnie bali się sądów wojskowych. Później zaś okazało się, że sądy wojskowe, ogólnie rzecz biorąc, orzekały z naszego punktu widzenia zdecydowanie lepiej niż sądy powszechne. Nie była to reguła bez wyjątków, bo np. Sąd Wojskowy Marynarki Wojennej w Gdyni, mający rangę sądu wyższej instancji (szczebel niższy obejmował sądy rejonowe), był sądem orzekającym w sposób daleki od zasad praworządności. Generalnie — sądy wojskowe orzekały w sposób bardziej zgodny z naszym przekonaniem, bardziej humanitarny, w jakiś sposób bardziej niezależny. Przykładem może być proces, w którym nie brałem udziału, górników z kopalni „Piast”, którzy najdłużej strajkowali, zakończony przed sądem wojskowym, i to orzekającym w trybie doraźnym, czyli sądem wydającym wyrok prawomocny w pierwszej instancji. Proces ten zakończył się uniewinnieniem głównego oskarżonego i umorzeniem postępowania w stosunku do pozostałych oskarżonych. Osoby te zostały niezwłocznie internowane, było to w połowie maja. W pierwszej połowie lipca, dzięki mojej interwencji u min. Kiszcza, zostały zwolnione z in-

ternowania, za wyjątkiem uniewinnionego w procesie głównego oskarżonego, który był internowany do grudnia.

— Jest pan jednym z nielicznych adwokatów, który bronił od początku Świadków Jehowy...

— Świadkowie Jehowy są ludźmi, ogólnie biorąc, na wysokim poziomie etycznym. Odnaczają się dużą intensywnością życia religijnego, co jest zresztą typowe dla przedstawicieli wyznań mniejszościowych. Obecnie jest zjawisko, które w Kościele katolickim nazywa się postawą „katolika z przyzwyczajenia”. Przynależność formalnej towarzyszy zwykle gorliwa praktyka. Są dość ekskluzywni w swoich poglądach religijnych, nie wyznają zasady ekumenizmu, nie poczuwają się do łączności z Kościołem rzymskokatolickim ani innymi wyznaniami, stojąc na stanowisku, że tylko ich wiara prowadzi do zbawienia. Trzeba przy tej okazji powiedzieć, że nie są to ludzie tolerancyjni. Ale myśmy się zgodziliśmy bardzo dobrze. Bro-

WOLNOŚĆ

niłem ich, będąc, oczywiście, wierzącym i praktykującym katolikiem. Miał procesy w latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych, przede wszystkim za odmowę służby wojskowej, za bezdebitowe wydawnictwa religijne. To, co mnie osobiście imponuje u Świadków Jehowy, to ich oddanie apostołstwu: chodzą po domach bezinteresownie, często spotykają się z wrogim przyjęciem, chcą zbawiać dusze ludzkie — jest to jakoś wzruszające. Pamiętam wiele wzruszających sytuacji w sądach, jak po rozprawie podchodził i mówił: „O, panie mecenasie, pan na pewno będzie żył w niebie!”

— Jak pan ocenia zatwierdzoną przez sejm poprzedniej kadencji ustawę o stosunku państwa do Kościoła rzymskokatolickiego?

— Ustawa ta jest postępową na drodze normalizacji stosunków pomiędzy Kościołem, rządem i Stolicą Apostolską. Jest bardzo wyraźnym i pomyślnym zakończeniem pewnego etapu. Pamiętam, jak w roku 1945 — byłem wtedy działaczem politycznym i społecznym na pewnym szczeblu — ludzie mówili, że niezależności Kościoła nie da się utrzymać, bo nie ma niezależności w żadnym kraju naszego ustroju. Podkreślano, że ustrój ten po prostu nie znosi w ogóle żadnych organizacji społecznych niezależnych od państwa. Okazało się jednak, że można zachować niezależność. Znakiem normowania się stosunków Polski z Watykanem jest także przybycie nuncjusza papieskiego, po raz pierwszy Polaka — arcybiskupa Kowalczyka.

— Wróćmy jednak do samej polityki. Jak pan widzi obecną strukturę ruchu solidarnościowego?

— Przede wszystkim trzeba powiedzieć, że „Solidarność”, która została zarejestrowana 17 kwietnia 1989 r., nie jest tą „Solidarnością”, która powstała w latach 1980—1981. Nie jest ani formalnie ani merytorycznie. Formalnie — bo jest to inny związek, mający innych założycieli, inny status prawny. Z merytorycznego zaś punktu widzenia chodzi o to, że „Solidarność” '80—'81 powstawała „od dołu”, od załóg: załogi tworzyły organizacje zakładowe, wybierały swoje władze, te władze „dołowe” wyłaniały władze wyższe i tak szło to aż do Krajowej Komisji Porozumiewawczej. „Solidarność”, która powstała te-

PRASA ZACHODNIA O POLSCĘ:

NEW YORK TIMES z 5 bm. w korespondencji Stevena Greenhouse'a m. in. pisze:

„Przez dziesiątki lat Polska, Niemcy Wschodnie, Czechosłowacja, Węgry nie znały pojęcia bezrobocia. Obecnie, z gwałtownymi przemianami w tych krajach, kwestia ta będzie znaczyła coraz więcej. Dodaje się do tego pogląd, że ukształtowanie się strukturalnego bezrobocia jest życiowo niezbędne po to, by gospodarki krajów wschodnioeuropejskich mogły się wyleczyć i wrócić do zdrowia. Dotyczy to zwłaszcza przemysłu ciężkiego, stalowni i hut z rozдутym zatrudnieniem, nieefektywnych.

Bezrobocie może pomóc — poprzez ruch na rynku pracy — w osiągnięciu konkurencyjności, rozwoju przedsiębiorczości i efektywności gospodarowania. „Chcemy zdecydowanie odejść od mało efektywnej, ciągnącej wstecz gospodarkę struktury polskiego przemysłu — mówi Irena Wójcicka, główny doradca ministra pracy. — Zdajemy sobie sprawę z tego, że bezrobocie będzie przynosić koszty społeczne, ale musimy przez to przejść, aby osiągnąć wyższy poziom życia”.

W dalszej części korespondencji cytowane są opinie wicepremiera Balcerowicza, który zdaje sobie sprawę z tego, że realizacja obecnego programu ekonomicznego przyniesie gwałtowny wzrost wskaźnika bezrobocia, co z kolei — jak twierdzą liczni ekonomiści — rodzi obawy o wybuch społecznego niezadowolenia, zagrażającego procesowi demokracji. Polski minister finansów przewiduje, że pod koniec br. liczba bezrobotnych osiągnie 400 tys. osób, ale są i tacy ekonomiści, którzy twierdzą, że bezrobotnych może być 3 mln.

Bezrobocie będzie w Polsce największym problemem — twierdzi Mieczysław Kabaj z warszawskiego Insty-

tu tu Badań Pracy. Nie chodzi przy tym wyłącznie o mniejsze zarobki, lecz także o zachowanie w systemie wartości, jako że prawo do pracy i bezpieczeństwo socjalne należą w krajach Europy Wschodniej do wartości najważniejszych.

Dziennik informuje następnie o działalności warszawskiego biura dla bezrobotnych wydającego codzienny biuletyn o wolnych miejscach pracy, takich jak w przedsiębiorstwie farmaceutycznym, za równowartość 40 dol. miesięcznie, czy też jako główny księgowy w instytucji wydawniczej — za równowartość 105 dol. miesięcznie. Oficjalne dane mówią, że jeszcze w październiku ub. roku na jednego chętnego czekało 85 wolnych miejsc pracy, lecz można oczekiwać, że już niebawem proporcje te odwróca się.

Stanisław Medyński, szef tego biura, zwraca uwagę na to, że obecnie wielu poszukujących pracy bardzo uważnie przegląda oferty zatrudnienia. W pierwszej kolejności są to pracownicy nie związani bezpośrednio z produkcją, urzędnicy. Można się spodziewać, że po nich przychodzić zaczną w coraz większej liczbie wykwalifikowani robotnicy.

„Bezrobocie jest częścią nowych gospodarczych reguł i dlatego nie uważam siebie za szczególnie pokrzywdzonego” — mówi dziennikarzowi Marek Jakubczyk, obecnie bezrobotny, a do niedawna doradca w jednej z kopalni na Śląsku. Będąc z zawodu geologiem i inżynierem wyspecjalizowanym w problematyce ochrony środowiska, jest on przekonany, że znajdzie inną dobrą pracę, ponieważ wszędzie wokół słychać dramatyczne zawołania o wzmożenie walki z zanieczyszczeniami.

Rosnąca liczba bezrobotnych — to nie tylko efekt dotychczasowych przerostów zatrudnienia wielu fa-

raz, jest organizacją kierowaną „od góry”: władze centralne wydają pełnomocnictwa władzom terenowym. Z dawnej „Solidarności” pozostała tylko nazwa oraz charyzmatyczny przywódca, jakim jest Lech Wałęsa, który związał się z pewną grupą osób, ale to nie jest dawna „Solidarność”. Dziś można powiedzieć, że „Solidarność” ’80—81 była organizacją absolutnie demokratyczną, związaną bardzo silnie, silniej niż obecna, z Kościołem, o ogromnej liczebności — 9 mln osób (obecna skupia tylko ok. 2,5 mln). Ten model „Solidarności” — w moim przekonaniu — powinien być odtworzony.

— Przy Okrągłym Stole krytykował pan stanowczo przyjętą ordynację wyborczą, proponując wcześniej inne rozwiązanie, co zgodnie ocenowały obie strony. Dział przeważa opinia, że czerwcowe wybory były niedemokratyczne, nie miały charakteru proporcjonalnego, lecz plebiscytowy. Fakt ten tłumaczy w

się gwałtownym obniżeniem poziomu życia, bez konsultacji ze społeczeństwem, w ciszy ministerialnych gabinetów. Po drugie, jesteśmy przekonani, że zmiany te idą zbyt daleko, czego objawem jest uniedostępnienie artykułów pierwszej potrzeby. Niezrozumiale są olbrzymie podwyżki cen. W większości państw, o różnych ustrojach, rząd gwarantuje sobie prawo ograniczania zbyt wielkiego wzrostu cen artykułów pierwszej potrzeby. U nas artykuły te są trudno dostępne i to dla ludzi uczciwie pracujących, nie tylko dla marginesu społecznego. Naturalny popyt jest hamowany cenami. Stoimy na stanowisku, że nie można rozumieć Ewangelii, iż kto nie pracuje, niech nie je. W Ewangelii jest powiedziane: kto nie chce pracować, a to jest wielka różnica.

— A propos Ewangelii. Przy różnych okazjach opowiada się pan za autentycznym pluralizmem i pod-

BEZ DEMOKRACJI

ekali mikro pańską porażkę z pana byłym klientem a obecnie ministrem Jackiem Kuroniem, a w skali makro prawie zupełny brak w parlamencie takich sił politycznych jak Stronnictwo Pracy, Konfederacja Polski Niepodległej czy Polska Partia Socjalistyczna. Jak daleko nam jeszcze do rzetelnej demokracji?

— O, bardzo daleko! Chodzi o to, że w roku 1989 uzyskaliśmy wolność polityczną, ale nie zbliżyliśmy się do demokracji. Polityczny monopol zastąpiono duopolem — monopolem władzy i monopolem opozycji. Pan słusznie wspominał proponowaną przeze mnie ordynację wyborczą, która okazałaby się bardziej korzystną dla rządu, ale może i dla rozwoju stosunków w kraju. Ordynacja ta uniemożliwiała wykorzystywanie wyników wyborów do celów propagandowych. Wypełnienie kartki z jednej i z drugiej strony byłoby obowiązujące. Kartki wypełnione nieprawidłowo byłyby nieważne. Co się dotyczy samych wyborów, to stały się one dotkliwą porażką PZPR, kompromitacją listy krajowej i stronnictw stowarzyszonych. Nie zmienia to sytuacji, że obecnie głównym niebezpieczeństwem naszego życia politycznego jest powrót do monopolu. Wolność bez demokracji grozi powrotem do politycznego, i nie tylko, monopolu.

— Po wyborach, a szczególnie po sformowaniu rządu Tadeusza Mazowieckiego, często powiada pan, że wielu z tych, którzy jeszcze niedawno walczyli o wolność, demokrację, sprawiedliwość, będąc u władzy, zapomina jakby o tym...

— To jest często spotykana cecha. Ci, którzy obalają tyranów, sami często stają się tyranami. Nam takie skrajne przeobrażenia nie grożą, wszystko przebiega łagodnie, ale do demokracji nam jeszcze daleko. Bowiem z faktu, że nie obawiam się teraz represji politycznej za moją działalność polityczną, nie wynika, że mogę działać w sposób absolutnie demokratyczny.

— Jaki jest stosunek Stronnictwa Pracy do założeń, kierunku i dotychczasowej realizacji programu rządu Mazowieckiego?

— My zasadniczo rząd Tadeusza Mazowieckiego popieramy. Natomiast sposób przeprowadzania reformy gospodarczej niepokoi nas i dajemy temu wyraz z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że robi się bardzo zasadnicze i daleko posunięte cięcia odbijające

kreśla moralny obowiązek obywatelskiego, a szczególnie chrześcijańskiego angażowania się w życie społeczno-polityczne. Jak zatem chrześcijanin ma realizować w swym życiu ewangeliczną zasadę oddawania „Bogu co boskie, cesarzowi co cesarskie”? Jest to zresztą problem szerszy, problem stosunku religii i Kościoła do polityki i państwa...

— Do tego stosuje się powiedzenie z Listu św. Jakuba: „Wiara bez czynków martwa jest”. Działanie polityczne jest zatem w jakiś sposób obowiązkiem moralnym. Dlatego słusznie Kościół wprowadził w rachunku sumienia uzupełnienie. Za moich czasów grzeszyło się tylko myślą, mową i uczynkiem, a teraz grzeszy się także zaniedbaniem. Kto pozwala przez zaniedbanie umierać człowiekowi z głodu, może ciężiej grzeszyć od zabójcy.

— Co sądzi pan o przedłożonym sejmowi rządowym projekcie ustawy o partiach politycznych?

— Projekt ten — tak, jak mi go referował min. Hall — jest bardzo dobry. Jeżeli sejm go zatwierdzi, nie będzie potrzeby walczyć o rejestrację, lecz będzie obowiązek zawiadomienia o powstaniu partii. Natomiast postanowienie, że Trybunał Konstytucyjny może rozwiązać partię, której celem jest obalenie przemocą ustroju — jak powiedziałem min. Hallowi i jego współpracownikom — musi być uzupełnione warunkiem, że dążenie do obalenia przemocą ustroju państwa musi być stwierdzone prawomocnym wyrokiem sądu karnego. Wtedy dopiero będzie to dyspozycja demokratyczna. Nie może ona zależeć tylko od oceny politycznej.

— 9 grudnia 1989 r. odbył się w Warszawie Zjazd Chrześcijańsko-Demokratycznego Stronnictwa Pracy. Był to zjazd roboczy przed planowanym na wiosnę br. trzecim w historii Stronnictwa kongresem. Jak przedstawia się sprawa podstawowych dokumentów?

— Są w toku opracowywania. Mam nadzieję, że już za kilka tygodni roześlemy je do organizacji wojewódzkich i terenowych celem przedyskutowania i oceny. Ostateczny kształt ustali kongres.

— Zycząc zatem pomyślnego kongresu i dziękując za rozmowę.

Warszawa, styczeń 1990.

Rozmawiał: Zenon Cieślak

BEZROBOCIE, SYTUACJA KOŚCIOŁA

tryk, ale także wynik bankructw licznych przedsiębiorstw. To także zjawisko dotąd nieznanne w krajach komunistycznych. W Polsce, zgodnie z gwałtownymi zmianami ekonomicznymi, można spodziewać się w najbliższych miesiącach nasilenia się tego zjawiska, co również wpłynie na zwiększenie się bezrobocia. Zwraca się jednocześnie uwagę na to, że jeśli liczba bezrobotnych przekroczy wskaźnik 5 proc. i wyniesie więcej niż pół miliona osób, to może mieć to znaczne konsekwencje społeczne.

W końcowej części artykułu Steven Greenhouse informuje o rozwiązaniach społecznych i zasadach finansowej pomocy bezrobotnym, wskazując m. in. na stworzenie możliwości wcześniejszego przejścia na emeryturę ludzi starszych, którym — z natury rzeczy — najczęściej jest odnaleźć się w nowych warunkach. Pracodawcy — pisze Greenhouse — wyrażają poniekąd zadowolenie z faktu wzrostu bezrobocia, wychodząc z założenia, że w sumie zaowocuje to większą efektywnością w gospodarowaniu zasobami siły roboczej. Kazimierz Konczerewski z Fabryki Samochodów Osobowych w Warszawie mówi w tym kontekście, że teraz może wybierać spośród tych, którzy naprawdę chcą rzetelnie pracować.

Austriacka DIE PRESSE z 5.02. zamieszcza pt. „Problemy pluralizmu — polski Kościół traci wpływy” korespondencję Klausa Bachemanna z Warszawy. Czytamy w niej, iż „wewnętrzne reformy przyniosły polskiemu Kościołowi pomniejszenie jego wpływów”. Autor przypominając, że przez całe dziesięciolecie „kościół był jedynym miejscem, gdzie można było swobodnie

dyskutować bez państwowej kontroli”. Kościół osłabiał „niezależną działalność zorganizowanej opozycji”, przy czym dzielące ją różnice „zamiatano pod dywan”.

Owa demonstracja na zewnątrz jedną już przeminęła. W czasach, kiedy Polska rządzona jest przez katolika Mazowieckiego, bylej opozycji nie jest już potrzebna ochrona ze strony Kościoła. To, że nie jest on też włączany jako pośrednik, wynika m. in. z tego, że prymas Glemp zrezygnował ze swej dotychczasowej roli arbitra, zajmując pozycję w politycznym spektrum. Już podczas kampanii przedwyborczej opowiedział się otwarcie za „chrześcijańsko-demokratyczną partią pracy”, a teraz jego sympatie polityczne przesunęły się jeszcze bardziej na prawo. Przed kilku tygodniami celebrował mszę z okazji założenia „Unii chrześcijańsko-narodowej”.

Ow nowy rozwój wydarzeń znajduje odbicie również w prasie katolickiej. Odkąd niezależni dziennikarze nie muszą już uciekać z powodu czarnych list i zakazów wykonywania zawodu do małych piśm katolickich, ich poziom spadł. Publicyści ci przeszli do piśm niezależnych albo wydawanych przez „Solidarność”.

Ta ogólna ucieczka i dystans wielu intelektualistów katolickich wobec hierarchii katolickiej jest również następstwem postawy prymasa. Pojebnie jak podczas sporu o klasztor karmelitanek w Oświęcimiu, wyraźnie widać, iż wielu z nich nie zgadza się z narodową linią prymasa.

Obecnie Kościół katolicki ma najmocniejsze poparcie ze strony ludności wiejskiej, gdzie proboszcz wiejski cieszy się nadal wielkim autorytetem. Rola Kościoła została odpolityczniona: zamiast funkcji politycznej i społecznej, pełni już tylko religijną.

PRZESIEDLENIA UKRAIŃCÓW

Ciąg dalszy ze str. 10

w sprawozdaniu za m-c luty 1946 r. pisał, że „ostatnio we wsiach ukraińskich przystąpiono do intensywnego kopania lochów i schronów podziemnych, które mają służyć jako ukrycie dla band oraz dla ludności miejscowej w czasie przesiedlania za Bug, a także w czasie akcji przeprowadzanych przez wojsko”.

Decyzja władz polskich o przymusowym przesiedleniu ludności ukraińskiej miała i ten niekorzystny aspekt, iż spowodowała, że pewna część Ukraińców, którzy dotychczas byli lojalni wobec władz polskich, zaczęła sprzyjać nacjonalistom ukraińskim, widząc w nich jedynych obrońców przed wysiedleniem.

To niekorzystne przewartościowanie postaw części społeczności ukraińskiej najlepiej ujął wojewoda lubelski, który w sprawozdaniu za m-c styczeń 1946 r. m.in. informował, że „dostrzeżone nawet zostały wypadki współdziałania osób stojących dotychczas na gruncie istniejącej rzeczywistości z ruchem narodowym ukraińskim, który zaczynał opanowywać coraz szersze warstwy pozornie obojętnej ludności ukraińskiej. Jest to niewątpliwie następstwem spoziewanej i nieuniknionej konieczności opuszczenia terenów polskich. W stosunku bowiem do akcji przesiedlającej Ukraińcy są jednomyślni i jeżeli pewna część z nich poszła na współpracę z rządem, to najczęściej bez przekonania i w przeświadczeniu, że w ten sposób uniknie wyjazdów do USRR”.

Znaczącym jest też, że w odniesieniu do powiatów hrubieszowski i tomaszowski, a także biłgorajskiego, zapewnienie bezpieczeństwa władze administracyjne widziały tylko poprzez przesiedlenie ludności ukraińskiej, nie przedstawiając innego rozwiązania. Faktem jest, że dokonując przesiedlenia, rozwiązywano problem ukraiński, ale z punktu widzenia społeczności ukraińskiej, która w części gmin stanowiąca zdecydowaną większość, przesiedlenie oznaczało zaprzaczenie jej dotychczasowego dorobku oraz pozbawienie ojcowizny.

Rezultaty I etapu

MIMO że realizacja akcji przesiedlającej napotykała na szereg trudności — o których mowa była wyżej — w I jej etapie, tj. w okresie od października 1944 r. do czerwca 1946 r., przy wydatnej pomocy wojska wysiedlono zdecydowaną większość ludności ukraińskiej z południowo-wschodnich terenów Polski.

Wyniki akcji przesiedlania Ukraińców przedstawiają tabele nr 1 i 2.

Tabela nr 1. Wyniki akcji przesiedlania ludności ukraińskiej wg stanu na miesiąc luty 1946 roku

| Powiat | Liczba ludności ukraińskiej wg stanu na październik 1944 r. | Wysiedlono do lutego 1946 r. |
|---------------|---|------------------------------|
| biłgorajski | 19 000 | 16 000 |
| hrubieszowski | 71 000 | 37 000 |
| tomaszowski | 41 000 | 23 000 |
| RAZEM: | 130 000 | 76 000 |

Źródło: AP w Lublinie, WRN w Lublinie, nr mikrofilmu 11202, K-287.

Najwyższe wyniki do lutego 1946 r. miano osiągnąć na terenie powiatu biłgorajskiego, gdzie, według oficjalnych danych, wysiedlono 88,9 proc. Ukraińców. Najgorsze zaś na terenie powiatu hrubieszowskiego, skąd przesiedlić miano ok. 54 proc. Ukraińców. Niewiele lepsze wyniki miano osiągnąć na terenie powiatu tomaszowskiego, skąd zdołano wysiedlić ok. 61 proc. Ukraińców.

Celem szybkiego zakończenia tej akcji od początku marca 1946 r. rozpoczęto intensywnie przesiedlać ludność ukraińską z terenu powiatów hrubieszowskiego i tomaszowskiego.

Tabela nr 2. Ostateczne wyniki I etapu akcji przesiedlania ludności ukraińskiej z poszczególnych powiatów (październik 1944 r. — czerwiec 1946 r.)

| Powiat | Liczba ludności ukraińskiej zamieszkałej w drugiej połowie 1944 roku | |
|-------------------------|--|----------------|
| | rodzina | osób |
| 1. biłgorajski | — | 19 011 |
| 2. hrubieszowski | 28 904 | 69 837 |
| 3. tomaszowski | 18 289 | 41 313 |
| 4. zamojski | 1 048 | 5 048 |
| Razem: | 38 241 | 135 209 |
| Ogółem w woj. lubelskim | — | 281 347 |
| Ogółem w kraju | — | 693 647 |

Ciąg dalszy na str. 12

PRZESIEDLENIA UKRAIŃCÓW

Ciąg dalszy ze str. 11

| Powiat | Liczba ludności ukraińskiej Wymienionej w I etapie | |
|-------------------------|--|---------|
| | rodzin | osób |
| 1. biłgorajski | 4 277 | 16 533 |
| 2. hrubieszowski | 10 653 | 68 658 |
| 3. tomaszowski | 10 626 | 38 735 |
| 4. zamojski | 1 543 | 5 480 |
| Razem: | 35 099 | 129 386 |
| Ogółem w woj. lubelskim | 53 015 | 193 420 |
| Ogółem w kraju | 132 994 | 518 219 |

| Powiat | Liczba ludności ukraińskiej Pozostającej po I etapie wysiedleń | |
|-------------------------|--|-------|
| | rodzin | osób |
| 1. biłgorajski | — | 2 466 |
| 2. hrubieszowski | 331 | 1 279 |
| 3. tomaszowski | 133 | 962 |
| 4. zamojski | 142 | 726 |
| Razem: | 606 | 5 433 |
| Ogółem w woj. lubelskim | — | — |
| Ogółem w kraju | — | — |

Zródła: AAN w W-wie, MIIP, nr mkr. 24196, k. 9, AP w Lublinie, UWL, sygn. 44 s. 17, sygn. 317 s. 47-49, A. B. Szcześniak, W. Z. Szota, „Droga do nikąd...”, s. 213, 496-497.

Z powyższej tabeli jednoznacznie wynika, że spośród ogólnej liczby Ukraińców zamieszkałych na terenie woj. lubelskiego zdecydowana większość przepadła na powiaty hrubieszowski i tomaszowski. Stąd też akcja wysiedleńcza koncentrowała się na terenie tych dwóch powiatów. Tu też w sposób najbardziej widoczny występowały wszelkie problemy, jakie za sobą pociągało wysiedlanie społeczności ukraińskiej.

Podana ogólna liczba ludności ukraińskiej, która po zakończeniu I etapu przesiedleń pozostała w powiatach: biłgorajskim, hrubieszowskim, tomaszowskim i zamojskim, jest według mojej oceny znacznie zaniżona. Tabela opracowana została na podstawie oficjalnych danych, które nie uwzględniały w pełni tej ludności, jaka nielegalnie powróciła z zagranicy, ukrywała się w lasach, u krewnych, bądź powróciła na te tereny z różnych stron Polski i Europy.

Gdyby na terenie powiatu hrubieszowskiego i tomaszowskiego pozostały tylko 564 rodziny, liczące 2241 osob, to z pewnością nie stanowiłyby większego problemu, nawet przy założeniu, iż większość z nich to sympatycy nacjonalizmu ukraińskiego. A podkreślić należy, że znaczna część ludności ukraińskiej, która odmówiła wyjazdu, podjęła starania o stwierdzenie obywatelstwa polskiego, czego z pewnością nie uczyniłoby nacjonalistki ukraińscy.

W rzeczywistości na terenie powiatów hrubieszowskiego i tomaszowskiego pozostała znacznie większa liczba ludności ukraińskiej, aniżeli podawano to w oficjalnych sprawozdaniach i innych dokumentach. Potwierdzają to dokumenty pochodzące z okresu po zakończeniu I etapu wysiedleń. Np. powiatowy Oddział Informacji i Propagandy w Hrubieszowie w piśmie z 1 października 1946 r., skierowanym do Wojewódzkiego Urzędu Informacji i Propagandy w Lublinie, informował, że mimo wysiedleń na terenie powiatu hrubieszowskiego pozostało 2430 osób narodowości ukraińskiej.

Natomiast wg danych Starostwa Powiatowego w Hrubieszowie z dnia 27 maja 1947 r., na terenie powiatu hrubieszowskiego miało zamieszkiwać 1695 rodzin ukraińskich liczących 5308 osób.

Z kolei Wojewódzki Pełnomocnik ds. Przesiedleńczo-Osiedleńczych w piśmie z 23 czerwca 1947 r. informował, że w powiecie tomaszowskim pozostaje do przesiedlenia 2352 rodziny ukraińskie liczące 8876 osób, zaś w powiecie biłgorajskim 926 rodzin ukraińskich liczących 2130 osób.

Przy końcu września 1946 r. na terenie powiatu zamojskiego zamieszkiwały 242 rodziny ukraińskie.

A więc tylko te dane wskazują, że po oficjalnym zakończeniu I etapu przesiedleń na terenie wymienionych powiatów pozostało 5215 rodzin ukraińskich, które liczyły 17 041 osób, z tego w powiatach hrubieszowskim i tomaszowskim zamieszkiwało 4 047 rodzin ukraińskich liczących 14 185 osób.

Po zakończeniu akcji przesiedleńczej nastąpiło ograniczenie aktywności zbrojnej ze strony UPA. Potwierdzają to sprawozdania powiatowych Rad Narodowych w Hrubieszowie i Tomaszowie oraz raporty dowódców oddziałów wojskowych.

W okresie od lipca 1946 r. do kwietnia 1947 r. w czterech powiatach nie prowadzono przesiedleń Ukraińców, co oznaczało, pewną stabilizację życiową i psychiczną dla tej społeczności. Nadal jednak wśród pozostałej na tych terenach ludności ukraińskiej dużą rolę odgrywał element nacjonalistyczny, który wielokrotnie wymuszały od ludności świadczącą na rzecz UPA. Postawę ludności ukraińskiej z tego okresu

Dokończenie na str. 13

Dokończenie ze str. 1

W nieco mniejszej proporcji wprowadzicie, lecz systematycznie, rośnie też udział ludzi nauki w ścisłym kierownictwie przewodniej siły narodu. Patrząc od innej strony: wśród zgłoszonych przez „Solidarność” kandydatów do Sejmu i Senatu pracownicy nauki stanowili około 20 procent, co zdaje się potwierdzać przypuszczenie, że nauka i polityka to dziedziny łatwo się kojarzące, niezależnie od orientacji i wszelkich koniunktur. Ludzie nauki w rządzie, parlamencie, kierownictwie partii oraz rozmaitych organizacji proządowych i opozycyjnych to oczywiście jedynie wierzchołek piramidy, której podstawę stanowi polityczne zaangażowanie tysięcy osób uprawiających naukową profesję.

„Pierekowka dusz”

SPOŁECZEŃSTWO polskie żyło ponad czterdzieści lat w państwie, które zaprojektowane zostało według totalitarnych, stalinowskich wzorów. Ideale te udało się zrealizować — na szczęście — jedynie połowicznie, dzięki czemu zostały się pewne relikty poprzedniej formacji ustrojowej, takie jak potężny Kościół katolicki i prywatne rolnictwo.

Nauce przyznano w marksistowsko-stalinowskim systemie zbyt ważną rolę, aby pozwolić jej zachować autonomię. Cała nowa rzeczywistość, zapowiadana jako istny raj na Ziemi, miała przecież być budowana według „naukowych” praw i zasad. Niecała jednak nauka dawała się wprząc do budowy nowego, wspaniałego świata. Nauka dzieliła się bowiem w owym czasie na postępową i burżuazyjną

(tzn. reakcyjną). Z tą drugą należało bezwzględnie walczyć.

Metody walki z burżuazyjnym wstecznictwem w nauce bywały różne. Najlagodniejszą była „pierekowka dusz” — poddany takiej kuracji uczone stawał się gorliwym wyznawcą Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina, i — jeśli, dajmy na to, był językoznawcą — nie omieszczał nigdy w swych pracach podkreślić, że to nikt inny, tylko Józef Wissarionowicz jest geniuszem i patronem lingwistyki jedynie słusznej, postępowej.

Uczonych o duszach trudniej lub zgoła wcale nie poddających się kowalskiej obróbce trzeba było — w społecznym interesie — unieszkodliwić, pozbawiając ich naukowych etatów, prawa nauczania i możliwości publikowania ich prac. Taki los spotkał m.in. wielu wybitnych humanistów, by wspomnieć tylko Władysława Tatarkiewicza, Romana Ingardena, Konrada Górskiego, Henryka Wereszyckiego, Stanisława i Marię Ossowskich. Stosowano również i bardziej jeszcze dokuczliwe metody, choć na pewno nie na taką skalę, jak za naszą wschodnią rubieżą, gdzie przeciwnicy teorii genetyka Irofima Łysenki, hochsztaplera obwołanego z łaski Kremla geniuszem, dokonywali żyłwa w łagrach.

Słuszni i postępowi

ZWOLNIONE przez wsteczników oraz dość licznie stworzone miejsca pracy w instytucjach naukowych poczęły zaludniać ludzie, których słuszne, postępowe poglądy na wszystko nie budziły wątpliwości decydentów.

Co to byli za decydenci? Odpowiedź nie będzie prosta. Stworzono całą, skomplikowaną machinę polityczno-biurokratyczno-policyjną, która — niczym aparat rentgenowski — miała kandydata na uczonego prześwietlić. Trzeba przecież było wiedzieć, czy nie był niestusznego pochodzenia, czy jego ojciec nie walczył z bolszewikami w 1920, czy wujek nie był w armii Andersa, a po wojnie nie osiadł w Anglii, i czy on sam, hipokryta, nie uprawiał szeptanki w gronie kolegów; sama legitymacja i rekomendacja ZMP, choć nieodzowne, nie wystarczały — wróg klasowy potrafił wkrącić się wszędzie.

Przeszedłszy zwycięsko przez tak gęste sito, z partijną legitymacją na sercu, nasz młody uczoney wdział przed sobą perspektywę imponującą. Jeśli nie był szczególnie tępy ani gnuśny, karierę mógł robić stosunkowo szybko, byle tylko trzymał właściwy ideologiczny kurs, nie zagłębiał się w tematy źle widziane, bywał w miarę regularnie na partyjnych zebraniach, klaskał i potępiał razem z innymi, nie narządzał się niepotrzebnie silniejszym od siebie. I tak — do upragnionej profesury. Tutaj krzywa wyznaczająca wspinanie się naszego bohatera w górę nabierała niepokojąco poziomego kierunku. Żalność ogarniała go na myśl, że — do samej emerytury — miałby dźwigać brzemię monotonnego, profesorskiego żywota.

Na szczęście nie była to sytuacja bez wyjścia. Otóż, w tym samym mniej więcej czasie, nasz profesor usłyszał wiadomość o — ku własnemu zaskoczeniu — że sprawy czysto naukowe jakoś mniej niż dawniej go pasjonują, że ciągnie go bardziej do działalności społecznej. Coraz częściej widywanego na rozmaitych zebraniach, za stolami prezydyjalnymi nakrytymi zielonym sukniem, coraz częściej też wypowiedzi jego, zawsze nacechowane obywatelską troską, upowszechniała prasa, radio i telewizja.

Takie zaangażowanie profesora nie mogło pozostać nie zauważone, toteż pewnego dnia zapraszano go do Bardzo Ważnego Gmachu, by zaproponować objęcie odpowiedzialnego stanowiska. Z nie ukrywanym żalem godził się profesor jeszcze bardziej ograniczyć swą aktywność naukową (ostatnio, prócz tekstów przemówień, zagajęń i podsumowań, pisywał już tylko wstępy do prac zbiorowych oraz patronował pracom swych asystentów, występując — w druku — jako ich współautor), by stanąć dzielnie na powierzonym mu odcinku.

A było takich odcinków nieprzebrane bogactwo. Nasz profesor mógł zostać: rektorem, sekretarzem KW lub KC, członkiem biura, posem, naczelnym redaktorem, prezesem, ministrem lub wiceministrem, radcą w ambasadzie, wicepremierem, premierem, przewodniczącym Rady Państwa; nie tym wszystkim naraz oczywiście, ale liczba funkcji, które mógł pełnić jednocześnie lub po kolei, była właściwie nieograniczona.

A gdy już osiągnął wiek emerytalny i pierś jego przyozdobiono — na pożegnanie — bardzo wysokim odznaczeniem, dożywał swoich dni jako prezes Naczelnej Rady ZBoWiD, poseł z listy krajowej, obrońca pokoju lub członek Narodowej Rady Kultury. Co pięć lat otrzymywał, z okazji urodzin, list od Pierwszego Sekretarza i Premiera, o czym donosił Dziennik Telewizyjny.

W objęciach partii

SYSTEM polityczno-prawny naszego kraju — mimo wszelkich oczywistych różnic pomiędzy latami pięćdziesiątymi a osiemdziesiątymi — nie tracił swej totalitarnej istoty. Niemal wszystkie

UCZONY NA USŁUGACH LUDU

dziedziny życia społecznego nadal były poddane bezpośredniej kontroli władzy państwowej, władzy sprawowanej de facto przez partię, której konstytucja — poprawiona w 1976 roku — przyznawała bliżej nie zdefiniowaną, przewodnią rolę w państwie. Również na organizacji życia naukowego koncepcja kierowniczej roli PZPR wywierała silne piętno. W całym szkolnictwie wyższym oraz w Polskiej Akademii Nauk, podobnie jak w całej naszej dogorywającej gospodarce, ciągle obowiązywał doszczętnie skompromitowany system nomenklatury, którego właściwą naturę miały przestąpić na przykład „wybory” rektorów, do jakich stawać mogli tylko kandydaci zaakceptowani przez ministra („wybrany” w ten sposób rektor akceptował lub nie akceptował wybranego dziekana itd.).

Samorządność instytucji naukowych i uczonych była ponadto ograniczona szerokimi kompetencjami przyznanymi wydziałowym i uczelnianym instancjom PZPR, których zgody wymagano przy zatrudnieniu pracownika naukowego, przy każdym jego awansie na wyższe stanowisko, przy otwarciu przewodu doktorskiego i habilitacyjnego. Nadal funkcjonował system opinii niejawnych, umożliwiający skuteczne blokowanie wniosków o stanowisko docenta i tytuł profesora.

Choć sama rządząca partia dawno już zapomniiała, na czym właściwie miał polegać socjalizm i słowem tym posługiwała się jedynie jako magicznym zaklęciem, to ustawa o szkolnictwie wyższym w wersji z 1985 r. wymagała, aby nowy docent, przed mianowaniem na to stanowisko, ślubował, że będzie wychowywał młodzież studencką w duchu socjalistycznym (nie tak znowu dawno „zdegradowano” na UMCS poważnego człowieka, który nie zechciał tej „prostej formalności” dopełnić).

I tu dotykamy sprawy bardzo istotnej: w organizacjach partyjnych, które mogły decydować o karierze naukowej każdego z nas, byli nasi koledzy, też pracownicy nauki, którzy występowali jednak w tym przypadku jako rzecznicy wartości innych niż te, jakim powinni służyć przede wszystkim.

Czy przeżywali z tego powodu wewnętrzne konflikt? Zazwyczaj starali się ich unikać, traktując swój wymagany ustawowo podpis jako czczą formalność. Ale przecież nie wszyscy i nie zawsze tak postępowali. W ubiegłym roku akademickim, na jednym z wydziałów UMCS (jego nazwę dyskretnie przemilczę, powiem tylko dla jasności, że szczególna panowała na nim skrupulatność w przestrzeganiu wszelkich ustaw i pomniejszych przepisów) dwukrotnie egzekutywa partyjna debatowała burliwie, czy przyjąć lub nie przyjąć do pracy zdolnego absolwenta, chłopaka o niewątpliwych walorach intelektualnych, którego jedynym grzechem było to, że dał się spisać funkcjonariuszom Służby Bezpieczeństwa, bo przez nieostrożność znalazł się na ulicy w biały dzień, a był to akurat dzień polowania na studentów.

Ze zgrozą myślę nie o takich ludziach nauki, którzy wzywają się politycznie poza swym zawodowym środowiskiem, lecz o takich właśnie gorliwcach z wydziałowej egzekutywy. Dla takich hunwejbów nie było ważne, że komisja złożona z profesorów oceniła wysoko czyjś naukowe dorobek, a rada wydziału tę opinię potwierdziła: oni przecież i tak wiedzieli, że ten ktoś nie zasługuje na profesurę, bo można mieć zastrzeżenia co do jego „postawy”. Iluż mądrych ludzi czekało — tylko z tej przyczyny — dziesięć i więcej lat na dawno zasłużone zaproszenie do Belwederu!

Pora sformułować pierwszy wniosek co do koniecznych — i to natychmiast! — zmian: **kariera naukowa nie powinna w najmniejszym stopniu zależeć od kryteriów politycznych**; ocenę polityczną przy awansach naukowych należałoby czynić przede wszystkim i praktyk takich w kategoriach sposobu ustawowo zakazać. Niech nas nie pociesza, że w ubiegłym roku akademickim — zwłaszcza w silniejszych uczelniach i instytutach — ta broń stosowana była rzadko. Przecież zaledwie siedem lat temu, podczas stanu wojennego, otrzymaliśmy dowód, że chętnych do przeprowadzenia politycznych weryfikacji wśród pracowników nauki nie brak. A że robili to tak delikatnie? — no cóż, widocznie „strzelać im nie kazano”.

Może jednak nie mam racji, może ten prymat kryteriów politycznych nad merytorycznymi dawał pewne korzyści? Owszem, niektórym dawał. Pan Jerzy Kuberski, który nigdy nie pracował na żadnej wyższej uczelni, a był kuratorem oświaty, sekretarzem KW, ministrem oświaty, kierownikiem wydziału KC i wreszcie dyplomata, obronił doktorat w r. 1977, zaś profesorem nadzwyczajnym został już w r. 1980. O habilitacji fróda milczą. Adam Gierek, syn Edwarda, jest podobno autentycznym człowiekiem nauki, ale czyż nie dziwi trochę taka kolejność: profesor nadzwyczajny 1971, członek-korespondent PAN 1974 (w wieku 36 lat!), profesor zwyczajny 1978?

Najczęstszą rolą polityczną, odgrywaną przez pracownika nauki w naszej niewesołej rzeczywistości, była tedy rola strażnika prawomyślności. Polem do pogipsu mogła być zarówno działalność komitetowa, jak i np. recenzentka, jeśli i w tej dziedzinie interes polityczny traktowano jako wartość naczelną. Bywało często, że recenzent lub redaktor naukowy bardziej przypominał cenzora niż poszukiwacza prawdy.

I W KIEROWNICTWIE

Jako propagandziści

TU dochodzimy do kwestii w naszej politycznej rzeczywistości niezwykle istotnej i bardzo drażliwej — do instrumentalnego traktowania nauki przez aparat władzy. Problem taki może zaistnieć właściwie w każdej dziedzinie badań, choć są, rzecz jasna, obszary narażone szczególnie na ingerencje polityczne: historia (jakże często „stosowana”), filozofia, ekonomia, politologia. Niewielu chyba reprezentantów tych dziedzin potrafiło zawsze trwać bezkompromisowo po stronie naukowej prawdy. Płacili za to niekiedy utratą katedr, zakazem publikacji, lub zmuszeni byli uciekać w dziedziny „bezpieczne”, nie wzbudzające specjalnego zainteresowania menedżerów nauki.

Wyraźny przełom zaczął się w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, wraz z narodzinami niezależnych wydawnictw, latającego uniwersytetu i wraz z narastaniem antytotolitarnej bunt. W ciągu szesnastu posierpniowych miesięcy środowiska naukowe, zwłaszcza te najbardziej obciążone grzechami przeszłości, przeżyły prawdziwe moralne katharsis, uświadamiając sobie dość powszechnie ogrom szkód wynikających z podporządkowywania pracy naukowej politycznym interesom aktualnej władzy. I choć zabrakło wówczas czasu na trwałą przebudowę stosunków między nauką, a polityką, to pozytywne skutki tamtego okresu utrwały się w postawach wielu uczonych i bardzo korzystnie przeobraziły oblicze wielu naukowych środowisk i instytucji.

Polityczne funkcje ludzi nauki nie ograniczają się — jako się rzekło — do sfery życia naukowego. Ale też — poza tą sferą — ich aktywność polityczna nie sprowadzała się jedynie do roli posłów, ministrów, sekretarzy, członków biura itp. Zresztą — na tak eksponowane stanowiska trzeba było sobie najpierw zapracować. Jak? Na przykład występując w telewizyjnym dzienniku lub w codziennej gazecie (czasem w zgodnym chórze z domowymi gospodyniami) i wypowiadając słusze w danym momencie poglądy na dowolny temat.

Propagandowe nadużywanie autorytetu nauki było codzienną praktyką w środkach przekazu PRL, szczególnie denerwującą w okresach niepokojów społecznych, gdy usiłowano stworzyć iluzję, że całe społeczeństwo zgodnie potępia politycznych awanturników, warchołów, elementy antysocjalistyczne czy pełzającą kontrrewolucję. Potępili taki szacowny docent lub profesor robotniczy strajk jako polityczne awanturnictwo i uleganie wrogim podszeptom, a za niedługi czas — gdy przez ten strajk wyrzuciła się jedna ekipa władzy i nastąpiła inna — z równym przekonaniem i dostojnością w głosie nazywał go „słusznym protestem klasy robotniczej”. Któż porównywał tę wypowiedź z tamtą? Obraz i dźwięk telewizyjny są ulotne, gazetą dawno już wyszciełano do kłuba na śmieci.

Pomijając moralną ocenę takiej dyspozycyjności — a jak wiadomo, była to najwyższa cnota dziennikarzy oficjalnej prasy, radia i telewizji, wysoko punktowana w periodycznych ocenach ludzi tam zatrudnionych — można się obawiać, że wpływała ona ujemnie na mniemanie opinii publicznej o ludziach nauki. I trudno się temu dziwić, tym bardziej że telewizyjni docenci i profesorowie chętnie wypowiadali się w imieniu naukowego środowiska, choć wcale ich ono o to nie prosiło.

Na stanowiskach

JESZCZE ludzie nauki na eksponowanych stanowiskach politycznych. Czy wnosili oni do naszego oficjalnego życia politycznego jakiegoś szczególne wartości, wynikające z uprawianej wcześniej lub równoległe profesji? Trudno na to pytanie odpowiedzieć jednoznacznie. Czasem wyróżniała ich stosunkowo ładna polszczyzna, choć i to nie było regułą. Trudno odpowiedzieć jednoznacznie, gdyż w systemie politycznym, z którym — mam nadzieję — pożegnaliśmy się, rzadko można było w sposób pewny przypisać autorstwo jakichś decyzji lub programów konkretnej osobie.

Mechanizm rozmywania odpowiedzialności, jedno z nieszczęść realnego socjalizmu, działa również i tu, a może — zwłaszcza tu. Toteż nie wiadomo, ile osobistej odpowiedzialności ponosił szanowany wcześniej profesor prawa, rzecznik jego demokratyzacji, który — w okresie stanu wojennego — zasłużył sobie (w gazecie dźwiękowej Stefana Bratkowskiego) na miano „ministra sprawiedliwości”. Tenże Bratkowski nazywał wówczas dwu innych profesorów — i można było mu przyznać rację — „ministrem zwalczania nauki i szkolnictwa wyższego” oraz „ministrem niszczenia kultury i sztuki”, choć obu tym panom (dziś już nieco zapomnianym) dobro administrowanych przez nich dziedzin powinno, jak się zdawało, leżeć na sercu.

W haniebnym roku 1968 decyzję o zwolnieniu sześciu profesorów i docentów z Uniwersytetu Warszawskiego podpisał też profesor tego uniwersytetu, jako minister oświaty i szkolnictwa wyższego. Doprawdy nie potrafię odpowiedzieć na pytanie, które sam sobie

zadalem. Pewne jest dla mnie jedynie, że uzyskana ranga polityczna bywała niekiedy mylna ze znaczeniem danego człowieka dla dyscypliny naukowej, którą uprawiał (najczęściej — uprawiał był). Potrzeba na wydawane okazale — jak na naszą edyorską nędzę — dzieła prof. Henryka Jabłońskiego (pierwsze tomy do nabycia od razu po cenach ulgowych), można pomyśleć, że wybitniejszego historyka w Polsce nie było i nie ma. Takich przykładów znalazłoby się dużo, dużo więcej.

I jeszcze jedno: umiejętności nabyte w działalności politycznej przydawały się czasem i w nauce. Podziwu godne wyczuje chwili żądemonstrował na przykład prof. Jerzy Bafia, ex-minister sprawiedliwości, który — wznawiając swą książkę wydaną w roku 1984 pt. „Prawo o cenzurze” — nadał jej tytuł „Prawo o wolności słowa”.

Droga powrotna

DOŚC zniechania się nad uczonymi na wysokich stanowiskach w strukturach władzy! Trochę tylko szkoda, że tak rzadko mieli odwagę wrócić potem do swych kolegów, do środowisk, z których wyszli. To, co jest rzeczą zupełnie zwyczajną w krajach demokratycznych — powrót ze świata polityki do normalnego życia uniwersyteckiego — u nas spełniało się nierzadko. Taki zasłużony (dobrze lub źle, nieważne) polityk, zamiast wrócić do swej właściwej profesji, tułał się na stare lata po różnych ambasadach, fasadowych instytucjach w kraju, przecinał wstęgi, dekorował medalami, składał wieńce. Czy nie można było jakoś ulżyć jego doli?

Pewna nadzieja zaczyna świtać. Jeśli proces pluralizacji oficjalnego życia politycznego będzie toczył się pomyślnie, jeśli w polityce zaczną u nas w pełni funkcjonować demokratyczne, czytelne mechanizmy sprawowania władzy i walki o nią, to można oczekiwać, że zaczną się wreszcie liczyć wyraziście osobowości, ludzie gotowi występować z własnymi, zrozumiałymi dla ogółu obywateli, programami politycznymi i brać odpowiedzialność za ich powodzenie lub niepowodzenie. System politycznego monopolu od takiej osobistej odpowiedzialności zwalniał, lecz nie zapewniał bynajmniej swym luminarzom moralnego komfortu dożywoć. Wycofanie się — zazwyczaj bezowocne i chyba rzadko dobrowolne — z aktywnego życia politycznego traktowane było jako osobista katastrofa. Traciło się nie tylko konkretne przywileje i wygody życiowe, traciło się często również twarz. Nielatwo było potem wrócić tam, skąd się przyszło, ani znaleźć sobie inną posadę na własną rękę. Pozostawała „czerwona kanapa”.

W OBECNYM Sejmie i Senacie zasiadło, po uczciwej wyborczej walce, wielu działaczy opozycyjnych, a wśród nich — kilkadziesiąt osób uprawiających różne dziedziny nauki. Są tam ludzie w swych specjalnościach wybitni, cieszący się uznaniem nie tylko w naszym kraju. Ich niezależna postawa i polityczna działalność kariery naukowej im nie ułatwiała. Bywali z tego powodu wyrzucani z pracy, pozbawiani możliwości publikowania, blokowani w awansach; uniemożliwiano im zagraniczne wyjazdy, czasem wtrącano do więzienia. Wierzę, że oni i ich następcy wniosą wiele dobrego w nasze życie publiczne, że — dzięki takim jak oni — działalność polityczna ludzi nauki przestanie być zajęciem moralnie dwuznacznym.

PRZESIEDLENIA UKRAIŃCÓW

Dokończenie ze str. 12

charakteryzował wojewoda lubelski, który w sprawozdaniu za miesiąc sierpień 1946 r. pisał m.in.: „pozostała ludność ukraińska, pomimo niechęci do wyjazdu na teren ZSRR, nie wykazuje większej aktywności”.

Akcja „Wisła”

ZABOJSTWO gen. Karola Świerczewskiego przyspieszyło podjęcie przez władze państwowe bardziej zdecydowanych działań w kierunku likwidacji podziemia ukraińskiego i całkowitego wysiedlenia ludności ukraińskiej z południowo-wschodnich terenów Polski. Przedsięwzięcie to realizowano w okresie kwiecień—lipiec 1947 r. w ramach akcji pod kryptonimem „Wisła”.

Początkowo główny nacisk położono na rozbięcie oddziałów UPA i wysiedlenie ludności ukraińskiej z terenów południowo-wschodnich powiatów woj. rzeszowskiego. Następnie — zgodnie z rozkazem operacyjnym 008/Op/„Wisła” Sztabu Grupy Operacyjnej „Wisła” z 9 czerwca 1947 r. — przedsięwzięcia te rozszerzono na teren powiatów tomaszowskiego i hrubieszowskiego. Mimo zakończenia z dniem 31 lipca 1947 r. działalności grupy operacyjnej „Wisła” na terenie powiatów hrubieszowskiego, tomaszowskiego i biłgorajskiego wysiedlenie rodzin ukraińskich i mieszanych (polsko-ukraińskich) kontynuowano z różnym nasileniem do października 1947 r. Wówczas to na terenie tych powiatów akcja wysiedlenia ludności ukraińskiej została ostatecznie zakończona.

Zasady dotyczące przesiedlenia rodzin ukraińskich i mieszanych z terenów objętych akcją „Wisła” zostały zawarte w rozkazie operacyjnym nr 003/Op/„Wisła” Sztabu Grupy Operacyjnej „Wisła” z dnia 22 kwietnia 1947 r. Całość terenu objęta akcją „Wisła” została podzielona na poszczególne rejony (strefy), które podporządkowane zostały dowódcom jednostek biorących udział w tej akcji.

Po zakończeniu akcji „Wisła” na terenie wymienionych powiatów akcją wysiedlenia ludności ukraińskiej prowadziła Grupa Operacyjna kryptonim „Hrubieszów”, i ostatecznie zakończyła ją w październiku 1947 r.

Założenia II etapu wysiedlenia ludności ukraińskiej miały o tyle radykalny charakter, że poza zwalczaniem podziemia ukraińskiego zakładały wysiedlenie na ziemię północnej i zachodniej Polski zarówno rodzin ukraińskich, jak i mieszanych.

Precyzyjne ustalenie liczby wysiedlonych rodzin ukraińskich i mieszanych w ramach akcji „W” i w okresie działania GO „Hrubieszów” jest wysoce utrudnione z uwagi na różnorodność występujące w materiałach źródłowych opracowywanych przez poszczególne ogniska organizacyjne władz administracji państwowej, wojska, bezpieczeństwa i aparatu politycznego. Niemniej, uwzględniając sprawozdania powyższych instytucji, można przyjąć, że z terenu wymienionych powiatów w ramach II etapu przesiedlenia na ziemię północnej i zachodniej Polski wysiedlono 4 803 rodziny liczące 17 417 osób. Szczegółowe wyniki tej akcji obrazuje tabela nr 3.

Tabela nr 3. Liczba wysiedlonych rodzin ukraińskich i mieszanych z terenu trzech powiatów w ramach akcji „W” i w okresie działania GO „Hrubieszów”

| Powiat | Liczba rodzin | Liczba osób |
|------------|---------------|-------------|
| Biłgoraj | 793 | 3 276 |
| Hrubieszów | 2 187 | 8 746 |
| Tomaszów | 1 823 | 6 395 |
| Razem: | 4 803 | 17 417 |

Źródła: CAW, ZDP, sygn. IV. 28.02.78, k. 147; AAN, MAP, nr mikr. 770, k. 9798; Archiwum WUSW w Lublinie, sygn. 17/23, k. 39, 135, 136; CA KC PZPR sygn. 235/DK — 135, k. 27, 28; AP w Lublinie, Oddz. Krasnostaw, sygn. 130, bns.

W YNIKU wysiedlenia ludności ukraińskiej i likwidacji oddziałów zbrojnych podziemia ukraińskiego na terenach czterech powiatów zaplanował spokój. Już w sprawozdaniach za IV kwartał 1947 r. Powiatowy Oddział PUR w Tomaszowie Lubelskim, wojewoda lubelski i aparat bezpieczeństwa informowały, że stan bezpieczeństwa jest zadowalający. Można więc przyjąć, że wraz z wysiedleniem ludności ukraińskiej rozwiązano problem ukraiński na południowo-wschodnich terenach Polski. Problem, jakim kosztem to się odbyło, pozostawiam ocenie czytelników.

Dokończenie ze str. 3

liarda złotych. W pewnej mierze byłaby to wiadomość dobra, gdyż zwiastuje rychły zgon gazety, gdyby nie to, że deficyt ten pokrywany jest z resztkowych zysków monopolistycznego RSW. Bo partia zachowuje się w sposób sobie właściwy, uważając, iż lepiej zmarnować, niż społeczeństwu oddać.

W TYM miejscu muszę — dla uniknięcia nieporozumień — wyjaśnić swoje poglądy w dwóch istotnych sprawach.

Primo, potrafię zrozumieć przywiązanie dziennikarzy do pisma, w którym pracują (choćby było kiepskie). Rozumiem, że w sytuacji bardzo prawdopodobnego bankructwa (a to oznacza dla nich po prostu bezrobocie) starają się zrobić wszystko, aby się ratować. Uważam jednak, że nie usprawiedliwia to milczącego przyzwolenia na utrzymywanie monopolu informacyjnego w rękach sił i ludzi politycznie skompromitowanych. Wydaje mi się, że nie tędy wiedzie droga do odzyskania wiarygodności, a także, że taka strategia ratowania tylko przyspiesza zgon gazety.

Secundo, jestem zwolennikiem wolności słowa. Uważam, że każda orientacja polityczna ma prawo do artykułowania swoich poglądów. Dotyczy to oczywiście — podobnie jak innych partii — także Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej.

(Na marginesie prywatny anons reklamowy:

„B. towarzyszym, a obecnie socjaldemokratom, chętnie tłumaczę, kto to był Bernstein. Także — jednym uderzeniem młotka — przerabiam posągi Lenina na stautetki Róży Luksemburg. Ceny konkurencyjne. Taniej, bo w bramie”).

Zrozumienie kłopotów dziennikarzy lubelskich pracujących w RSW „Prasa” (no bo gdzie niby mieli pracować) oraz fakt, że nawet partia o tak małej liczbie zwolenników jak Socjaldemokracja Rzeczypospolitej Polskiej ma prawo do uczestnictwa w społecznym komunikowaniu, nie usprawiedliwia jednak prób zawłaszczania majątku społecznego. Zwłaszcza w sytuacji, gdy czekamy na decyzję komisji rządowej, która zdecydować ma o losach majątku b. PZPR, majątku, którego istotną część stanowi RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Faktem prawnym jest, że przedsiębiorstwo to nie ma właściciela, gdyż partie polityczne nie mają osobowości prawnej, a zresztą główny, nieprawny, udziałowiec — b. PZPR — nie istnieje (tę pulę b. PZPR sama na siebie zastawiła). Z faktu, że — z prawnego punktu widzenia — RSW nie ma właściciela, nie wynika jednak, że ten „niczyj” majątek może być bezkarnie grabiony. W sensie genetycznym stanowi on własność społeczną i społeczeństwu (na przykład w postaci samorządu miasta Lublina) musi zostać zwrócony.

Zatrzymuję się przy tym prawnym aspekcie zagadnienia z dwóch powodów. Po pierwsze, lepiej jest przestrzec potencjalnych udziałowców, iż

wszelkie transakcje majątkowe, w jakie wchodzi z RSW, przypominają kupowanie samochodu z niepewnym źródła. Mogą zakończyć się przepadaniem wyłożonych pieniędzy. Po drugie, dziwi mnie bezczynność władz wojewódzkich, których podstawowym obowiązkiem jest troska o mienie społeczne.

ZOSTAWIAJĄC jednak na boku sprawę polityki (choćby kwestia środków masowego przekazu silnie się z nią łączy), chcę wrócić do zasadniczego wątku tego tekstu, którym jest przyszłość prasy lubelskiej.

Mógłbym być posądzony o stronniczość, gdybym nie ujawnił „przecieków”, dotyczących trzeciego tytułu lubelskiego — „Relacji”. I tutaj redaktor naczelny prowadzi „tajne negocjacje”. W tym przypadku sprawa jest o tyle inna, że tygodnik ten nigdy nie był specjalnym pupilkim „białego domu”. Jako tytuł nowy, nie stanowi także specjalnego majątku. Niemniej

PRZYJDZIE RYNEK I WYRÓ

i w tym przypadku uważam, że jeżeli nowy wydawca się znajdzie, przepowiadanie powinno dokonać się jawnie i w sposób nie wzbudzający podejrzeń, iż coś, ktoś zachachmęcił.

W perspektywie możliwe jest także powstanie nowych tytułów prasowych oraz aktywizacja prasy zakładowej. Z nowych tytułów mówi się o lokalnej mutacji „Gazety Wyborczej” (przygotowania są podobno mocno zaawansowane) oraz o „Gazecie Lubelskiej”. Ten drugi tytuł wydawany ma być przez innego lubelskiego „rekinę finansjery”. Niczego nie „prywatyzując”, tylko rozpoczynając od zera, postępuje on znacznie od swego kolegi ucziwiej, ale stawia się w znacznie trudniejszej sytuacji. I w tym przypadku przygotowania są podobno mocno zaawansowane (mówi się, że tytuł może ukazać się w kioskach — jeżeli kioski jeszcze będą — w marcu lub kwietniu), a gazetę mają redagować znani przed laty, a ostatnio głównie bezrobotni lubelscy dziennikarze. Konkurencja może być tutaj wydawana przez Zarząd Regionu NSZZ „Solidarność” i Komitet Obywatelski „Gazeta Obywatelska”. Pomyślana początkowo jako tygodnik, ukazać ma się podobno — w początku marca.

Do kompletu możliwych zmian na lubelskim rynku prasowym dodać trzeba dwie. Przed kilkoma tygodniami wpadł mi w ręce „Głos FSC”. Ku mojemu zdziwieniu — prasa zakładowa to zawsze był samutiłkie dno — zauważyłem, że jest on dość przyzwoicie i ciekawie redagowany. Również w drugiej gazecie wielkiego zakładu (WSK) zapowiadane są duże zmiany. Fama głosi, iż naczelnym ma zostać znany dziennikarz prasy niezależnej (dawniej podziemnej). Gazety za-

kładowe zawsze były deficytowe, nie wykluczone zatem, że w czasach reformy gospodarczej dyrekcje fabryk będą chciały deficyt ten zmniejszyć, wprowadzając je do normalnej sieci kolportażu. Jeżeli ich poziom byłby odpowiednio wysoki, mogłyby stać się — co najmniej — lokalnymi pismami Świdnika i zachodniej dzielnicy Lublina.

PORA na zrekapitulowanie tego, czego można spodziewać się w kioskach (powtórze, jeżeli jeszcze będą istniały) za miesiąc lub dwa. Dwa skrajne warianty to: nie będzie istniała żadna lokalna gazeta, a tylko czterospaltowa, ukazująca się raz na tydzień, wkładka do „Gazety Wyborczej”, albo ukazywać się będzie osiem tytułów, z których, po odbyciu walki na śmierć i życie, pozostanie jeden czy dwa najlepsze. Choćby wolałbym, aby w rzeczywistości miał miejsce ten drugi wariant, to bardzo poważnie, po dejzrewam, iż czeka nas (całkowita,

bo niestety, śmierć może także pozbawiony dotacji „Akcent”) prasowa pułstynia.

Prawda, że sytuacja ekonomiczna jest ciężka. Koszty są wysokie, a spauperyzowana ludność oszczędza, na czym może, a więc i na gazetach. Niemniej sytuacja nie byłaby tak zła, gdyby nie aspołeczne zachowanie partyjnego monopolisty. Przez cały ostatni rok, kiedy już można było dokładnie przewidywać, co się wydarzy w gospodarce i polityce, zachowywał się on jak pies ogrodnika. I zachowuje się tak nadal, chcąc wszystko, co przez lata zagarnął, zachować. W rezultacie, w sytuacji, gdy ostatecznie zbankrutuje, pozostaną po nim gruzy, na których odbudować cokolwiek będzie bardzo trudno.

Ten prominenckij upór wydaje się być niezrozumiały. Wy tłumaczyć mogłaby go jedynie wiara w to, że panowie ci potrafią robić dobre, wysokonakładowe pismo. Jeżeli jednak owi prominenckie sądzą, są tyleż pyszni co naiwni. Możliwa jest jednak jeszcze druga interpretacja tego zachowania. Być może panowie ci sądzą, że za miesiąc czy dwa zdrowe, komunistyczne siły pod wodzą b. pika Pietruszki i b. kpt. Piotrowskiego, wsparte przez albański korpus interwencyjny, zaprowadzą w Polsce „porządek”. Wiem, że może brzmieć to jak szaleństwo. W zestawieniu z innymi elementami puła brzmi jednak wcale logicznie. Również z tego powodu, na wszelki wypadek, szaleńcom brzytwę, tj. „Dziennik” i „Kurier Lubelski”, bym odebrał, przekazując te tytuły w gestię samorządu lokalnego.

Michał Zieliński

INFORMATOR KULTURALNY

TEATRY

W LUBLINIE
Teatr im. J. Osterwy: 22-23.03, 27-28.03 godz. 18: „Crego nie widać” Michała Frayna; reż. Andrzej Zaorski.

Teatr Laiki i Aktora: 25.03 godz. 17 (premier), 27-28.03 godz. 18: „Przygody pingwina Pik-Poka” Adama Bahdaja, reż. Włodzimierz Felenczak, scen. Andrzej Czyżyło, muz. Jerzy Derfel.

Teatr Muzyczny: 22-23.02 godz. 10: „Czarodziejski pierścień” L. Kaszyckiego; reż. Zbigniew Czeski. 24-25.02 godz. 18: „Bal w Savoyu” Paula Abrahama; reż. Ryszard Zarewicz.

MUZYKA

W LUBLINIE — 22.02 godz. 18, 24.02 godz. 18 — koncert symfoniczny. Wystąpią: Orkiestra Państwowej Filharmonii Lubelskiej pod dyrekcją Pawła Skrzyppka oraz Roman Lasocki (skrzypce). W programie: Uwertura „Czarodziejski flet” W. A. Mozarta. VII Koncert skrzypcowy G. Bacewicz oraz VIII Symfonia A. Dworka.

WYSTAWY

W LUBLINIE
Zamek Lubelski — wystawa pt. „Hej kołoda, kołoda...” (zimowe zwyczaje ludowe). Galeria Labirynt (ul. Grodzka 3) — wystawa prac Andrzeja Dudka-Dürera pt. „Mela... Trips... Arts VIII D”.

Galeria Grodzka (ul. Grodzka 8a) — wystawa prac Zofii Kullik pt. „Motyw ludzki”. Galeria BWA (ul. Narutowicza 4) — wystawa prac Jerzego Beresa pt. „Zwidy — wyrocznie — ołtarze”. Galeria Sceny Plastycznej KUL (ul. Al. Racławickie 14) — wystawa prac Tadeusza Brzozowskiego.

Galeria Srodek (ul. Klepury 8a) — wystawa grafiki i rysunku Ewy Borowskiej. Galeria NOVA (ul. Grodzka 8) — wystawa prac Jerzego Kostki.

Dworek Wincentego Pola — wystawa pt. „Ludwicy Pol i Ludwik Zejsner — pierwszy profesor nauk o Ziemi Uniwersytetu Jagiellońskiego”.

Galeria TPSP (ul. Grodzka 2/24) — wystawa malarstwa Jana Ziemińskiego.

W BIAŁYM PODLASKIEJ
Galeria Sztuki — wystawa malarstwa na szkło Marka Lemczyńskiego pt. „Madonny”.

W ZAMOŚCIU
BWA — wystawa malarstwa Rymarda Kalamasza.

DOROBEK LITERACKI KUNCEWICZOWEJ

W niespełna rok po nadaniu Marii Kuncewiczowej doktoratu honoris causa Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej ta sama uczelnia była organizatorem dwudniowej sesji naukowej poświęconej twórczości tej wybitnej pisarki. Kilkanaście referatów i wystąpień, przygotowanych przez pracowników naukowych UMCS oraz Uniwersytetu Śląskiego i Gdańskiego, złożyło się na temat „Twórczość literacka Marii Kuncewiczowej na tle powieści psychologicznej dwudziestego wieku”.

OGŁOSZENIE DROBNE

Anteny telewizyjne: wyrób, sprzedaż, instalacje ekspresowe. Poczta — pawilon.

154/G-10

CO ŁASKA...

NA Narodowy Fundusz Ochrony Zdrowia łożyliśmy chyba wszyscy. Kupując w kiosku widokówkę lub kalendarz, bezwiednie dokładaliśmy swoje 50 groszy, które w miarę upływu czasu urosło do 4-5 złotych. Wkalkulowane to było w cenę towaru, więc każdy płacił, nie pytając nawet, co to takiego ten NFOZ. Podobnie robotnicy, odbierając wypłaty, nie pamiętali chyba o tym, że kiedyś zadeklarowali „dobrowolnie” drobną część swych zarobków na ten szczytny cel. Najczęściej było to pół procenta. Także rolnicy, przy uiszczaniu podatków, wpłacali sołtysowi jakies drobne kwoty.

NFOZ, choć pod względem organizacji i metod zbiórki pieniędzy kojarzyć się może z naszą niechlubną przeszłością zbieractwa na wszelkie możliwe cele, to jednak w swej 17-letniej działalności na terenie Lubelszczyzny zapisał się jako najlepiej, skutecznie uzupełniając braki inwestycyjne w służbie zdrowia. Za zebrane pieniądze sfinansowano w całości lub częściowo budowę 32 obiektów szpitalnych w miastach oraz przychodni i ośrodków zdrowia w gminach i wsiach. Było to kilkaset dodatkowych łóżek w klinikach i w szpitalach, kilkadziesiąt gabinetów lekarskich, m.in. dom rencisty na Kalinowszczyźnie,

dwa hotele dla pielęgniarek oraz sprzęt medyczny, począwszy od strzykawek i igieł, a na trzech karetkach i śmigłowcu sanitarnym skończywszy.

W ubiegłym roku, za sprawą pracowników z zakładów pracy, Fundusz wzbogacił się o ponad 366 mln złotych, rolnicy wpłacili blisko 19 mln, zmalały za to, i tak znikome, wpłaty ze strony rzemiosła i zrzeszeń prywatnego handlu i usług oraz transportu. Pieniądze te zostały wydatkowane na dalszą budowę i wyposażenie ośrodków zdrowia w Borzechowie, Janowcu, Piaskach, Ruchaczowie i Ratoszynie. W styczniu br. zdołano już zebrać 85 milionów. Jeżeli zbiórka będzie nadal tak dopisywać, to spodziewać się należy sumy ok. miliarda złotych pod koniec 1990 roku. Za te pieniądze jedna z gmin może mieć zbudowany i wyposażony ośrodek zdrowia.

— Ktoś się zapyta, dlaczego to robotnicy, wpłacający gros pieniędzy, mają fundować wsimom takie ośrodki — tłumaczy zbrany w Komitecie Obywatelskim w Lublinie główny lekarz wojewódzki, Tadeusz Marciniak. — Otóż sprawa jest prozaiczna. Zadnej gminy ani tym bardziej wsi nie stać będzie na taką inwestycję. Wystarczy, że włożą w to swoją robociznę przy budowie. Natomiast przy finansowym udziale społeczeństwa z całego województwa pieniądze są już znaczne. A nie zapominajmy, że pokazała część dzisiejszych mieszkańców Lublina, Puław i innych miast pochodzi ze wsi. Mogą więc

chyba wyłożyć te dwa — trzy tysiące złotych na to, aby matka, czy ojciec, którzy zostali na wsi, mieli przychodnię pod ręką. W miastach o lekarza nie trudno, na wsi zaś nadal są z tym kłopoty.

Obecna sytuacja gospodarcza kraju, oszczędności w zakładach pracy, liczenie każdego grosza w rodzinnym budżecie poważnie zagrażają przyszłości NFOZ. Czy ludzie nadal zechcą bezinteresownie dawać pieniądze na rzecz innych ludzi?

W Komitecie Obywatelskim, gdzie ostatnio zajmowano się tą sprawą, chcą wierzyć, że tak będzie. Imaczej — Fundusz się rozpadnie, rozpoczęte już inwestycje będą musiały zostać wstrzymane.

— W miastach robotnicy, uczniowie, urzędnicy czy też emeryci mają okresowe badania lekarskie, przychodnie specjalistyczne, szpitale — mówił Tadeusz Marciniak. — Na wsi, szczególnie ludzie starsi, z poważnymi schorzeniami, pozostawieni są często sami sobie. Przy okazji tzw. „białych niedziel” przeprowadzamy badania szczegółowe, analizy, prześwietlenia i często w ten tylko sposób stwierdzamy u rolników choroby dotąd nie wykryte, nie leczone. Niektórzy przerywają leczenie, bo szkoda im czasu na dojazd do miasta lub z innych powodów. Brakuje stałej kontroli ze strony lekarza, ciągłości leczenia z powodów, o jakich mówiłem. Roboty jest dużo. Czasem trafiałyśmy nawet na takie osoby, które przed lekarzem stają po raz pierwszy.

Marek Podgajny

**CZWARTEK
22 LUTEGO****PROGRAM I**

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiadomości poranne
9.25 „Policjanci z Miami” — odc. pt. „Evan” — serial krym. prod. USA
10.10 Domator
16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: „Kwant”
17.15 Teleexpress
17.30 Kalejdoskop
17.55 Koncert z Żelazowej Wolj z okazji 180 rocznicy urodzin Fryderyka Chopina — gra Ewa Poblócka
18.25 Magazyn katolicki
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Interpelacje (1)
19.30 Wiadomości
20.05 „Policjanci z Miami” — odc. pt. „Evan” — serial krym. prod. USA
20.55 Interpelacje (2)
21.35 Sport: Mistrzostwa Świata w biathlonie — Mińsk '90
22.05 Pegaz
22.50 Wiadomości wieczorne

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Psychostudio
18.00 Program lokalny
18.30 Program na życzenie
19.30 Zielone kino: „Las i jego znaczenie”
20.00 Wielki sport
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio Teatralne „Dwójki”: Miquel de Cervantes — „Teatr cudów”
22.30—23.35 Komentarz dnia

**PIĄTEK
23 LUTEGO****PROGRAM I**

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiadomości poranne
9.25 „Słynne historie zbrojnicze” — odc. 3 pt. „Joszka Szobri” — serial fab. prod. czech.
10.25 Domator
15.50 Program dnia i Telegazeta
15.55 Intersygnal
16.25 Dla młodych widzów: Rambit
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego
17.15 Teleexpress
17.30 Raport
17.50 Skarbiec
18.30 Rzeczpospolita samorządna — program publicystyczny
18.50 Weekend w „Jedynce”
19.00 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 Kino muzyczne Kydryńskiego: „Tańcząca Wenus” — prod. USA
21.40 Sport
21.50 Oferty Pegaza: Snob literacki
22.10 Spór o jutro: Otwarte studio (1)
23.10 Wiadomości wieczorne
23.25 Jutro w programie
23.30 Spór o jutro: Otwarte studio

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Za chwilę dalszy ciąg programu — program satyryczny
19.30 Koncert Orkiestry Kameralnej PRiTV w Poznaniu pod dyr. Agnieszki Ducznał
20.35 Program publicystyczny
20.55 Scena i poza sceną
21.30 Panorama dnia
21.45 „Więzy i pokrewieństwa” — film fab. prod. franc.
23.20 Komentarz dnia
23.25—23.45 Express wieczorny

**SOBOTA
24 LUTEGO****PROGRAM I**

7.55 Tydzień na działce
8.15 Na zdrowie
8.35 Program dnia
8.40 Ziarno — program Redakcji Katolickiej dla dzieci
9.00 Drops a w nim „Heidi” (2) — serial prod. RFN
10.30 Wiadomości poranne
10.40 „Azjatycka mozaika” (4) — „Malowana indyjska ballada” — serial dok. prod. franc.
11.10 Zdrowie
11.40 Laboratorium: Kabel czy antena
12.10 Telewizyjny koncert życzeń
12.45 „U wód” — reportaż
13.15 Telewizyjny Teatr Prozy: Sinclair Lewis — „Babbitt”
14.55 Prezydenci: Herbert Hoover (1929—33)
15.25 Filmy o miłości: „Seksolatki” — prod. pol.
16.45 Flesz — magazyn muzyczny
17.15 Teleexpress
17.30 Studio sport: Mistrzostwa Świata w lotach narciarskich — Vikersund '90, Mistrzostwa Świata w saneczkarstwie — Szczyrk '90, Mistrzostwa Świata w biathlonie — Mińsk '90
18.30 Butik
19.00 Dobranoc
19.10 Z kamerą wśród zwierząt
19.30 Wiadomości
20.05 „Pociąg do Hollywood” — film fab. prod. pol.
21.40 Sport
22.10 Impresje karnawalowe
22.55 Telegazeta i jutro w programie
23.05—0.40 Kino sensacji: „Ukryte namiętności” — film prod. USA

PROGRAM II

12.30 Czas akademicki — Katolicki Nurt Stowarzyszeń Akademickich
13.00 W świetle ciszy
13.25 Studio im. Andrzeja Munka przedstawia
14.25 5 — 10 — 15 — program dla dzieci i młodzieży
15.55 Małe kino: „Quiwija, wiośka Cobo Delgado” — film dok.
16.15 Studio sport
16.55 Powitanie
17.00 Dziewczyna miesiąca
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Godzina z Joanną Szczepkowską
19.30 Alfa i omega — program popularnonaukowy
20.00 Przed konkursem chopinowskim: Powroty ulubieńców konkursów
21.00 Dwa + 2 — drugi obieg w „Dwójce”
21.30 Panorama dnia
21.45 „Znowu w Brideshead” (8) — serial fab. prod. ang.
22.35 Komentarz dnia
22.40—23.40 Studio Foksal '90

**NIEDZIELA
25 LUTEGO****PROGRAM I**

8.55 Program dnia
9.00 Dla młodych widzów: Telerek, a w nim „Emil z wioski Lönnberga” (2) — serial prod. szwedzkiej
10.30 Wiadomości poranne
10.35 „Tajemnice rosyjskiej przyrody” (1) — serial dok. prod. kanadyjsko-radzieckiej
11.05 Kraj za miastem
11.30 Telewizyjny koncert życzeń
12.15 Morze
12.35 Szkoła mistrzów: Krzysztof Gradowski
12.55 Teatr dla Dzieci: Kornel Makuszyński i Marian Walentynowicz — „Awantury i wybrki małej małpki Fiki-Miki” (2)
13.25 Perski kot w Majkowym studiu nagrań — Maja Jezowska śpiewa piosenki dla dzieci
13.55 Świat umykający (3)
14.25 Pieprz i wanilia: Z wiatrem i pod wiatr: Zielona Australia

15.10 Antena
15.35 „Panna dziedziczka” — serial fab. prod. brazył.
17.15 Teleexpress
17.30 Agromarket
18.00 Sportowa niedziela
19.00 Wieczorynka
19.30 Wiadomości
20.05 „Północ — Południe” (2) — serial fab. prod. USA
21.40 Siedem dni: Święta
22.10 Sport
22.40 Filmy Józefa Błachowicza: „A na wsi wesele” i „Był taki bal”
23.40 Jutro w programie

PROGRAM II

8.50 Przegląd tygodnia (dla niesłyszących)
9.25 „Północ — Południe” (2) — serial fab. prod. USA (dla niesłyszących)
11.00 Krótkofalowcy
11.30 Jutro poniedziałek
12.00 Powitanie
12.05 Polska Kronika Filmowa
12.15 „Kane i Abel” (1) — serial obycz. prod. USA
13.05 100 pytań do...
13.55 Kino familijne: „Bajasz” — odc. 9 pt. „Zapomniana baśń” — serial prod. ang.
14.20 Maciej Niesiołowski: Z batuską i z humorem
14.35 „Ulice polskie” — reportaż
15.20 Podróże w czasie i przestrzeni: „Czas katedr” — odc. 1 pt. „Europa roku tysięcznego” — film dok.
16.10 Biografie: „David Mamet” — film dok. prod. ang.
17.00 Studio sport
17.30 Bliżej świata
19.00 Program publicystyczny
19.30 Galeria 37 milionów: Grafika i malarstwo Zygmunta Cxyza
20.00 Studio sport: Mistrzostwa Świata w biathlonie — Mińsk '90
21.10 Jubileusz nestora sceny polskiej — Juliusza Lubicz-Lisowskiego
21.30 Panorama dnia
21.45 Kawiarnia „Zart” spółka z o.o. — program rozrywkowy
22.30 „Kane i Abel” (1) — serial obycz. prod. USA (powt.)
23.20 Komentarz dnia
23.25—23.40 Akademia wiersza

PONIEDZIAŁEK**26 LUTEGO****PROGRAM I**

16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Luz — program nastolatków
17.15 Teleexpress
17.30 Gorące linie
17.55 Wędrowki dalekie i bliskie: „Platon i Atlantyda” — film dok. prod. belgijskiej
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 W Sejmie i Senacie
19.30 Wiadomości
20.05 Teatr Telewizji na Świecie: William Szekspir — „Koriolan”
22.35 Sport
22.45 Kontrapunkt
23.15 Wiadomości wieczorne

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Antena „Dwójki” na najbliższy tydzień
17.45 Ojczyzna — polszczyzna
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 „Zmagania o Polskę” (8) — „W tym życiu” — Kościół polski — serial dok. prod. ang.
19.30 Muzyczne wizyty: Wojciech Matuszewski
20.05 Auto-Moto-Fan-Klub
20.40 Światło idzie z Gdańska — program dok. o niezależnych filmowcach
21.30 Panorama dnia
21.45 „Heimat” — „Zolnierska miłość” — serial prod. RFN

WTOREK**27 LUTEGO****PROGRAM I**

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole

9.15 Wiadomości poranne
9.25 „Kir Royal — z życia reporterów kroniki towarzyskiej” (5)
10.25 Domator
16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Dla dzieci: Tik-Tak
16.50 Kino Tik-Taka: „Opowieści byczka” (16) — serial prod. japońsko-holenderskiej
17.15 Teleexpress
17.30 Spojrzenia
17.55 Klinika Zdrowego Człowieka
18.15 Business
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Od A do Z — program publicystyczny
19.30 Wiadomości
20.00 Spotkanie z ministrem Jackiem Kuroziem
20.15 „Kir Royal — z życia reporterów kroniki towarzyskiej” — serial obycz. prod. RFN
21.15 Sport
21.25 Sprawa dla reporterów
22.05 Goście festiwalu Karisbamm'90
22.35 Wiadomości wieczorne
22.50 Kłamania

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Klub ludzi z przeszłością
18.00 Program lokalny
18.30 Młodziwa wieczorna z kościoła Ecce Homo
18.50 Program public.
19.30 Studio sport: Losowanie Pucharu Polski w piłce nożnej
20.00 Non stop kolor
21.00 Dni szalone — z karnawałem przez stulecia
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio im. Karola Irzykowskiego: „Kocham kino” — film fab. prod. pol.

ŚRODA**28 LUTEGO****PROGRAM I**

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiadomości poranne
9.25 „Delegacje” — film krym. prod. czech.
10.30 Domator
16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: Kameleon
16.50 Dla dzieci: Trąba
17.15 Teleexpress
17.30 Sensacje XX w.
17.55 Telewizyjny informator w dawniczy
18.15 Dawniej niż wczoraj — magazyn historyczny
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Plus — minus — program nastolatków
19.30 Wiadomości
20.05 „Niech cię odleci maza” — film prod. pol.
21.50 Sport
22.00 Wskół Wielkiej Sceny

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Doktor Żywago — poetyckie postscriptum
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Magazyn 102
19.00 „Marc i Sophie” (1) — „Noc poślubna” — serial prod. franc.
19.30 Studio sport: Mistrzostwa Świata w piłce ręcznej mężczyzn (Polska-ZSRR)
20.00 Czarno na białym — przegląd PKF
20.40 Przegląd muzyczny
21.00 Ze wszystkich stron: „Niebezpieczne ulice” — reportaż o przestępczości w ZSRR
21.30 Panorama dnia
21.50 „Wyznania hochsztaplera Feliksa Krulla” (4) — serial prod. RFN
22.50 997 — kronika kryminalna
23.50 Komentarz dnia
23.55 Express gospodarczy (powtórzenie)

relacje

ADRES REDAKCJI
20-029 LUBLIN, UL. M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ 2
20-950 LUBLIN, SKR. POCZT. 231



TELEFONY
• 215-57 • SEKRETARIAT RED. NACZELNY
• 205-34 • SEKRETARZE REDAKCJI
• 202-91 • 208-59 • 233-88 • DZIENNIKARZE

ZESPÓŁ

EWA CZERWIŃSKA (II SEKRETARZ REDAKCJI) • MIROSLAW DERECKI • TERESA DRAS (REDAKTOR TECHNICZNY)
ZBIGNIEW DZIECIOŁEK • WIESLAW HORABIK • VIOLETTA KRASNOWSKA • HENRYK PAJAK • ANDRZEJ W PAWLUCZUK
WALDEMAR PIASECKI • FRANCISZEK PIĄTKOWSKI (REDAKTOR NACZELNY) • MACIEJ PODGÓRSKI (SEKRETARZ
REDAKCJI) • WALDEMAR STĘPIEN (FOTOREPORTER) • LESZEK WIŚNIEWSKI (Z-CIA REDAKTORA NACZELNEGO)
IZABELLA WŁAZŁOWSKA (WSPÓŁPRACOWNICA) • MICHAŁ ZIELIŃSKI • JANUSZ WRONA (KORREKTOR) • KRZYSZTOF LAMCH
(KORREKTOR) • BARBARA CABAN (WSPÓŁPRACOWNICA) • BARBARA JASTRZĘBSKA • TERESA STERLIS (KORREKTOR)
ANNA WÓJTOWICZ (TRANSLATOR) • GRZEGORZ BORZECKI

WYDAWCA

Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”.

DRUK

Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.

Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.

Informacji o prenumeracji na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch” i urzędy pocztowe. Nr indeksu: 37409 PL ISSN 0660-8830

AD VOCEM

DEMOKRATYZACJA

DEMOKRATYZACJA jest u nas o statnio słowem częstym. Pojęciowo stoi między demokracją, oznaczającym wyznawanie zasad demokratycznych, a samą demokracją jako ludowładztwem. Oznacza więc demokratyzacja przekształcanie (np. państwa lub innej zbiorowości) w duchu zasad demokratycznych. Według dawnej (przedwojennej) i ładnej definicji, demokratyzacja to wzrastający wpływ władzy ludu, widoczny w urządzeniach ustrojowych, prawach i obyczajach.

Celem demokratyzacji jest osiągnięcie demokracji. Tu pojawiają się pewne kłopoty, albowiem pojęcie demokracji nie jest tak jednoznaczne, jak to się wydaje wielu jej orędownikom i plewcom. Wystarczy wskazać, że w najprostszych słownikach wyróżnia się u nas demokracje: antyczną, burżuazyjną, ludową i socjalistyczną, a nie jest to katalog wyczerpujący. Do jakiej demokracji dąży zatem obecna demokratyzacja, trudno powiedzieć. Jedni pojmują cel jako demokrację wreszcie bezprzymiotnikową, inni widzą pluralistyczną demokrację parlamentarną.

Niepewny jest też punkt wyjścia. Czy dzisiejsza demokratyzacja jest odchodzeniem od totalizmu (jako scentralizowanej dyktatury), czy też od demokracji ludowej (socjalistycznej)? W tym drugim przypadku byłby to ruch od demokracji do demokracji. A jeżeli ta do niedawna nam panująca demokracja socjalistyczna uznawana była za najlepszą formę demokracji, to czy cofamy się teraz ku gorszej? Kłopoty są więc tu niemałe i wymagające osobnego rozpatrzenia.

Tymczasem pozostajmy przy demokratyzacji, która w rezultacie jawi się jako stan pośredni między starym a nowym. I tylko płaczę się gdzieś niejasne pytanie, czy z tą demokratyzacją i demokracją nie jest właściwie tak samo jak z cnotą, która stanów pośrednich nie zna: po prostu albo jest, albo jej nie ma.

Arcus M.

LISTY

Proszę mi wybaczyć tę natrętą natarczywość i zakłócanie spokoju. Przyśięgam: nie moja w tym wina. Tej bezwzględnej brutalności nauczyło mnie dotychczasowe, oparte na ciągłej kolomyjce życie — ten „kochany” w stalinowskim wydaniu socjalizm. Brrr, ciarki mnie przechodzą, kiedy wspomnę o tamtych, na szczęście minionych, niegodziwych latach.

Dzisiaj — choć już wyraźnie powiało „nowym” — nadal mnie niekiedy dychwawczy szlag trafia. Dziwi się Pan temu? Nie ma powodów! Gdyby Pan mieszkał w takim jak ja, skolowaciętym grajdole, obracał się na co dzień wśród otumanionego, oczekującego na lepsze czasy tłumu oraz zasiadających (w większości przywiezionych w teczece decydentów, myślących i rządzących wciąż po staremu), to i Pana by ruszyło, siedziłoby się Pan i kłął na czym świat stoi. No, bo jakże to...

O co chodzi — spyta Pan? — odpowiadam wprost: Chodzi mi o to, by wreszcie i w moim, wynoszonym dotychczas obłudnie na najwyższe piedestały z racji utworzenia w 1944 roku przy wydatnej „pomocy” bałki Stalina komunistycznej władzy i utworzenia pierwszej odezwy do narodu polskiego, mieście powiało odnową — czy jak Pan woli — pieriestrojka. O nic więcej.

Tymczasem w moim sześćdziesięcokilkutysięczniku, gierkowsko-jaroszewiczowskiej stolicy województwa, która stała się 22 lipca 1944 roku kolebką stalinowsko-bierutowskiej machiny przyszłego terroru, życie płynie po staremu. Tu wiatr wolności nie powiał jeszcze demokracją i pluralizmem.

No, może niezupełnie wszystko dzieje się jak dawniej, gdyż od czasu do czasu miastem wstrząśnie jakieś większej wagi wydarzenie; a to nadużycie w rodzaju wykupu przez zatwardziałych wszechwładców działek budowlanych nad Jeziorem Białym, a to likwidacja poważnie zaawansowanej budowy biblioteki publicznej, po której mieszkańcy „niedźwiedziego grodu” tyle sobie obiecywali, a to...

Ostatnio bezduszna władza zaszyła się pod potężne konary historycznych Trzech Dębów i w mierzwie rachietycznej trawy śpi sobie spokojnie kamiennym snem Białego Niedźwiedzia. Śpi albo kombinuje, co by tu jeszcze dla siebie uszczknąć. Sędziwi ludzie powiadają, że sen dobrze robi, regeneruje organizm, wzmacnia samopoczucie, więc chyba i nieruchawym chełm-

skim urządcom też w jakimś stopniu pomoże. A może wykrawacym towarzyszą przyświeca metoda „divide et impera”? Ja natomiast myślę, iż nasi dygnitarze trzymają się twardo znanej starej ukraińskiej formuły: „Na pered nie wyrwajisia, na zadni ne ostawajisia, seredyny trzymajisia”. Owa metoda w dzisiejszych ciężkich czasach jest najwygodniejsza i najbardziej bezpieczna. To prawda, ale nie na dłuższą metę!

Jeszcze niezupełnie przebrzmiały ostatnie sensacyjne wydarzenia, ponieważ sprawa ohydnych szwindli znalazła się w rękach Prokuratury Generalnej, a już społeczeństwo Chełma zostało zbulwersowane kolejną samo-

brej woli mieszkańców i zrozumieniu władz lokalnych.

Do tej pory zmieniono w Chełmie zaledwie nazwę ulicy Bieruta na ulicę Mościckiego. Zaledwie! Jednak, zgodnie z życzeniem społeczeństwa, trzeba natychmiast przywrócić dawne nazwy kolejnym ulicom, przemianować ul. Bojowników o Wolność i Demokrację na Orlicz-Dreszera, Dzierżyńskiego na Reformacką, Odrodzonego Wojska Polskiego (zdublowaną alejami I Armii Wojska Polskiego) na ulicę Szwoleżerów, Świerczewskiego na Piłsudskiego, Związku Walki Młodych na Pocztową, a plac Konstytucji na plac dr. Łuczowski. Zastanówić się tak-

BIAŁY NIEDŹWIEDŹ
MOCNO ŚPI W (CHEŁMIE)

wolą władz — budową fontanny miejskiej na placu PKWN. Kto osobiście ponosi odpowiedzialność za tę bezduszną decyzję, jeszcze nie wiadomo, wiadomo natomiast, że za sporządzenie dokumentacji technicznej owej niechcianej przez chełmian inwestycji (niechcianej przynajmniej teraz, w dobie głębokiego kryzysu gospodarczego) trzeba natychmiast zapłacić 3,5 miliona złotych.

Radni podobno nie zgadzają się na pokrycie rachunku z kasy miejskiej, sprzeciwiają się marnotrawieniu grosza społecznego. I słusznie, gdyż w obecnych czasach nie stać nas na lekkomyślną rozrzutność. Miasto ma inne niezbędne potrzeby: budowę złobków, przedszkoli i szkół, kontynuowanie przerwanej budowy biblioteki publicznej, budowę drukarni i innych budynków użyteczności publicznej. I nie tylko.

Spółczesność Chełma oczekuje więc dokładnego wyjaśnienia sprawy. Nie zgadza się także, by koszty opracowania dokumentacji pokryto ze szczupłego budżetu miasta. Żąda, by winnych rozliczyć i przykładać karę. Wydaje mi się, iż protest zbulwersowanych mieszkańców jest słuszny i nie wymaga komentarzy.

Od dłuższego czasu mieszkańcy Chełma domagają się zmian nazw chełmskich ulic, ale i te żądania nie odnoszą skutku. A przecież tej lub każdej innej sprawie nie załatwi Chełmowi ani Wałęsa, ani Mazowiecki, ani też szef radzieckiej pieriestrojki Michaił. Wszystko musi być rozstrzygnięte i załatwione na miejscu przy do-

że należy nad nazwami innych ulic i placów: Armii Czerwonej, Mieczysława, Partyzantów, Lenina, 22 Lipca, Rokossowskiego, a także nad placem PKWN.

Jeżeli już jestem przy nazwach ulic i placów chełmskich, z konieczności muszę poruszyć jeszcze jedną nie mniej ważną sprawę. Niewielki obszar terenu znajdującego się w widłach ulic OWP i Słowackiego, a leżący tuż obok szkoły im. M. Konopnickiej, został z niewiadomych mi powodów nazwany placem Sienkiewicza. Boże! patrzysz, a nie grzmisz. To wielkie nieporozumienie! Ow skrawek ziemi, bogato zadrzewiony, obsiany trawą i pocięty alejkami spacerowymi, nie może być w żadnym wypadku placem, lecz tylko i wyłącznie skwerkiem. Dalej: jeżeli jest to przestrzeń ochrzczone szumnie placem Sienkiewicza, to dlaczego ulokowano na niej pomnik Kościuszki? Czyżby nasz Naczelnik był homoseksualistą? Jakoś do tej pory o tym nie słyszałem. Proponuję więc plac Sienkiewicza przemianować na skwerk Kościuszki.

A więc władzo chełmska (tu chciało by się rzec za głosem warszawskiego humorysty, śp. Stefana Wiecheckiego), szanowna władzuchno — do dzieła! Życzę ci jak niegdysiejszy Pliniusz Starszy, aby zanim powstaną samorządy terytorialne i zostanie wybrano przez społeczeństwo nowa demokratyczna władza lokalna, przyświecało ci hasło: „Nulla dies sine linea” — ani jeden dzień bez kreski, to znaczy ani jeden dzień bez owocnej dla Chełma i jego wrażliwego społeczeństwa pracy.

Kazimierz Eugeniusz Steszuk
Chełm

HOROSKOP JAPONSKI
- WEDŁUG CHIBA REIKO (3)

Tabela znaków i lat urodzin

Szczur: 1900, 1912, 1924, 1936, 1948, 1960, 1972, 1984, 1996.

Wół: 1901, 1913, 1925, 1937, 1949, 1961, 1973, 1985, 1997.

Tygrys: 1902, 1914, 1926, 1938, 1950, 1962, 1974, 1986, 1998.

Zając: 1903, 1915, 1927, 1939, 1951, 1963, 1975, 1987, 1999.

Smok: 1904, 1916, 1928, 1940, 1952, 1964, 1976, 1988, 2000.

Wąż: 1905, 1917, 1929, 1941, 1953, 1965, 1977, 1989.

Koń: 1906, 1918, 1930, 1942, 1954, 1966, 1978, 1990.

Owca: 1907, 1919, 1931, 1943, 1955, 1967, 1979, 1991.

Małpa: 1908, 1920, 1932, 1944, 1956, 1968, 1980, 1992.

Kogut: 1909, 1921, 1933, 1945, 1957, 1969, 1981, 1993.

Pies: 1910, 1922, 1934, 1946, 1958, 1970, 1982, 1994.

Dzik: 1911, 1923, 1935, 1947, 1959, 1971, 1983, 1995.

ROK ZAJĄCA

Ludzie z roku Zając mają niezwykle szczęście. To dobrzy gawędziarze. Utalentowani i ambitni. Są prawi i pełni rezerwy, posiadają świetny smak, a inni patrzą na nich z podziwem i obdarzają ich głębokim zaufaniem. Mają zawsze powodzenie w finansach.

Lubią niewinne plotkowanie, są jednak pełni taktu i niechętnie wyrażają się ile na czyjs temat. Są bardzo uczuleni w stosunku do osób, które obdarzają miłością, ale w dziwny sposób brak im przywiązania do rodziny, której członków uważają za osoby tylko trochę lepsze od obcych.

Mają łagodny temperament i trzeba ich naprawdę dość długo prowokować, zanim stracą panowanie nad sobą. W interesach są bardzo bystrzy i jeśli ktoś podpisuje kontrakt z Zajacem, to nie może on być bez pokrycia.

Są melancholijni i — sprowokowani — dość łatwo ronią łzy. Trochę pedantyczni i nie dość dobrze poinformowani; co prawda to, co wiedzą, wiedzą dobrze, ale nigdy nie zgłębiają wiedzy w innych kierunkach.

To świetni hazardziści, posiadający niesamowity dar wyłapywania rzeczy pewnej. Są w dużej mierze konserwa-

tystami, dlatego też rzadko rzucają się głową naprzód bez uprzedniego przemyślenia własnych zamiarów.

Czasami Japończycy odnoszą się do Zajęcy z dużą podejrzliwością, ponieważ istnieje wierzenie, że wiedźmy niekiedy przybierają ich postać.

Osoba urodzona w roku Zająca będzie żyć spokojnie we wszystkich trzech fazach życia, pod warunkiem, że nie zaangażuje się w sprawy nie do udźwignięcia.

Najlepsze małżeństwo Zając zawrze z Owcą, Dzikim lub Psem. Niedobrym partnerem jest dla niego Smok, ale najgorszym — Szczur lub Kogut.

ROK SMOKA

Ludzie urodzeni w roku Smoka są zdrowi, energiczni, a przy tym pobudliwi, gwałtowni oraz strasznie uparci. Cechują się jednak przy tym uczuciowością, wrażliwością, odwagą i zdolnością wzbudzania zaufania. Są to osoby najbardziej ekscentryczne z całego cyklu. Nie cierpią pożyczania od innych pieniędzy, schłabiania i prawie nie komplementów oraz wygłaszania kwiecistych mów.

W tym, co wypowiadają, są szczerzy, a ich opinie mocno uzasadnione. Zdolni do oddania się z całego serca

dobrej sprawie, ale potrafią niestety z równą gorliwością popelniać czyny niewłaściwe. Mają miękkie serca i łatwo ich wzruszyć zręcznym wypowiedzianą kwestią. To daje innym wielką przewagę nad nimi.

Wiele się martwią i właściwie — bez powodu. Mają skłonność do zawierania małżeństwa późno, lub wcale nie wchodzi w związki małżeńskie. To przyczynia się w wielu wypadkach do ich samotności w późnych latach życia. Ludzie ich jednak kochają.

Są wybredni i to powoduje wiele problemów w pierwszej fazie życia. W drugiej los ich bywa zmienny, ale w końcu Smok osiąga spokój i zadowolenie.

Smok lubi mówić dużo i czasami słowo go ponoszą. Zazwyczaj jednak nie jest plotkarzem.

Uważa się, że mężczyzna urodzony w roku Smoka ma powodzenie, ponieważ Smok jest symbolem największych sił niebiańskich i wywiera dobroczynny wpływ astrologiczny (jeden z dwóch najlepszych, obok Tygrysa).

Smok jest znakiem wzrastania i życia; mówi się, że przynosi pięć błogosławieństw: bogactwa, harmonię, długowieczność, cnotę oraz przeżycie na ziemi wszystkich przeznaczonych dni.

Najlepsze małżeństwo zawiera ze Szczurem, Wężem, Małpą i Kogutem. Drugi dobry wybór to Tygrys, Koń, Owca i Dzik. Niedobry może się okazać związek z Wolem, Zajacem lub Smokiem. Zdecydowanie najgorszy — z Psem.

Kim